

LILIAN DARCY

**TAJEMNICA
DOKTORA WILDE'A**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Co chwilę będą tu panią Straszły duchy z przeszłości - oznajmił ze śmiechem doktor Preston Stock.

- Jakie duchy? - zdumiała się Francesca Brady.

- Duchy samej siebie sprzed lat - wyjaśnił. - Tu pani przecież dorastała.

- Owszem, ale wyjechałam, kiedy skończyłam osiemnaście lat - powiedziała - a teraz mam trzydzieści. W ciągu ostatnich dwunastu lat rzadko tu bywałam; rodzice przyjeżdżali do mnie albo jeździliśmy razem na Florydę. Wątpię, żebym spotkała jakieś duchy.

- Myli się pani. Duchy spotyka się właśnie wtedy, kiedy człowiek gdzieś się długo nie pojawia. Nie miała pani szans, żeby świeże, mniej bulwersujące wspomnienia nałożyły się na przeszłość.

- Czyżby sądził pan, że mam za sobą szczególnie skandaliczną przeszłość? - mruknęła.

Doktor Stock najwyraźniej postanowił przekazać jej podczas jednego lunchu swoje poglądy na wszystkie ważniejsze tematy. Przed chwilą ostro skrytykował życie towarzyskie Darrensbergu, brak porządných sklepów i charakter wielu mieszkańców miasteczka. Teraz zajął się Francesca!

- Skarbie, każdy człowiek ma mniej lub bardziej skandaliczną przeszłość - oświadczył, przeciągając samogłoski.

- Ja na pewno nie - zaprotestowała z godnością. - Miałam normalną, troskliwą matkę, ojca, cieszącego się poważaniem w swoim zawodzie, starszego brata i siostrę, do których byłam bardzo przywiązana. Krótko mówiąc, miałam szczęśliwe dzieciństwo i nie będą mnie męczyły żadne duchy.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Francesca zaprosiła doktora Stocka na pożegnalny lunch do najlepszej restauracji w Darrensbergu, ale powoli dochodziła do wniosku, że nie był to najszcześniejszy pomysł. Doktor Stock plotkował z zadowoleniem na wszelkie możliwe tematy, ale nie wspomniał ani słowem o praktyce lekarza rodzinnego, którą prowadził tu przez trzy miesiące i którą miała teraz przejąć Francesca. Dlaczego ojciec go wybrał? To ją trochę niepokoiło.

Przełknęła pierożek z łososiem w sosie kawiorowym i odezwała się rzeczowym tonem:

- Ojciec miał atak serca w końcu lutego i pan przejął jego praktykę niemal natychmiast. Chciałabym, żeby zrelacjonował mi pan to, co powinnam wiedzieć o pacjentach. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy po przejściu ojca na emeryturę odeszli jacyś pacjenci? Czy ktoś był niezadowolony ze zmiany lekarza? W końcu to wszystko stało się dość nagle, a ojciec - z czego pan nie zdaje sobie chyba sprawy - leczył ich od czterdziestu lat. Mam nadzieję, że powiadomił pan wszystkich, że przejmę praktykę, kiedy tylko zakończę pracę w New Jersey?

- Oczywiście. Wielki Boże, nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby przypuszczać, że chciałabym tu zostać na zawsze! Nie słyszałem o żadnych niezadowolonych ani

o tym, żeby ktoś odszedł do innego lekarza. Czy są pacjenci, o których powinienem powiedzieć pani coś bliższego? Kiedy wrócimy do przychodni, przejrzymy razem kartotekę prowadzoną przez panią Mayberry. Jest tam parę osób, które mogą przypisać o ból głowy, choć i bez listy mogę pani wyrecytować z głowy kilka nazwisk. Tak czy inaczej, poinformowałem wszystkich zainteresowanych, że córka Franka Brady'ego przejmie w czerwcu praktykę, ale nikt tego nie komentował. Dlatego myślałem, że ojciec zaczął tu pracować już po pani wyjeździe. Najwyraźniej była pani grzeczną dziewczynką i nie wywarła większego wrażenia na mieszkańcach Darrensbergu.

- Nie byłam grzeczną dziewczynką! - Naprawdę, ten facet jest niemożliwy! - Byłam tylko trochę nieśmiała, a przy tym najmłodsza z rodzeństwa.

W głębi ducha musiała jednak przyznać, że Preston StOck ma w pewnym sensie rację. Jako dziecko, a nawet jeszcze jako nastolatka, była chorobliwie nieśmiała, i w dodatku bardzo grzeczna. Zawsze robiła, co jej kazano, zawsze była porządnie ubrana, zawsze miała odrobione lekcje i nigdy nie była bohaterką najmniejszego skandalu.

No cóż, teraz już tego nie zmieni.

Jeśli chodzi natomiast o mieszkańców Darrensbergu, to owszem, ma teraz zamiar zrobić na nich stosowne wrażenie.

Strata pacjentów z powodu zmiany lekarza jest mało prawdopodobna - ciągnął Preston Stock. - Dokąd pójdą? Do Wayans Falls? Och, oczywiście jest też doktor Wilde, ale on nie wydaje się konkurencją. Nie słyszałem, żeby ktoś go chwalił.

- Doktor Wilde? - powtórzyła zaskoczona Francesca.

- To on jeszcze leczy? Przecież już dawno odebrano mu prawo uprawiania zawodu! Przynajmniej... - Zmarszczyła brwi.

Ojciec zawsze informował ją o najważniejszych wydarzeniach w małym medycznym świecie Darrensbergu i okolicznych miasteczek, ale, prawdę mówiąc, nie zawsze wszystko do niej docierało. Pamiętała kilka wizyt rodziców z czasów sesji egzaminacyjnych, lecz pamiętała także, że z trudem udawało jej się wtedy nie zasnąć przy kolacji i nie miała pojęcia, o czym rozmawiali.

Błąd w sztuce lekarskiej, popełniony w małym, prowincjonalnym miasteczku, wydawał jej się - w porównaniu z możliwością obłania egzaminu - zaledwie burzą w szklance wody, gdyż wówczas, wiele lat przed zawałem ojca, nawet jej przez myśl nie przeszło wracać po studiach do Darrensbergu.

- Przecież on już chyba jest na emeryturze. Był starszy od ojca - powiedziała na głos.

- Na emeryturze? Ależ skąd, to nie ten doktor Wilde, skarbie. Pewno jego syn.

- Syn? Ach, Adam. Jasne, przejął praktykę po ojcu.

Dlaczego ojciec nawet o tym nie wspomniał? - zastanawiała się w duchu. Nie, chyba coś jednak mówił, ale co to było? Miał taki strasznie słaby głos podczas owego weekendu... Leżał w nowojorskim szpitalu po zawale, przez który omal nie przeniósł się na tamten świat. Wtedy, nie przyjmując do wiadomości oceny stanu swego zdrowia i jego konsekwencji na przyszłość, ojciec nadal zamierzał powrócić do pracy po kilkutygodniowym wypoczynku.

Dopiero kiedy Francesca obiecała, że przejmie Ośrodek

Medycyny Rodzinnej Bradych, ojciec zaczął rozważać kwestię emerytury. I nawet wtedy wraz z matką musiały się bardzo starać, by nie pozwolić mu na ciągłe rozmowy o pracy. A teraz Francesca miała nieprzyjemne uczucie, że nie zna sytuacji w Darrensbergu tak, jak powinna. Do głowy by jej w ogóle nie przyszło, że Adam Wilde wróci tu jako lekarz.

- Myślałam, że studiował prawo - mruknęła.

Wyjechał na studia w Bostonie, gdy miała jedenaście lat.

- Nie, nie Adam Wilde - powiedział doktor Stock.

- Ma na imię Lucas.

- Lucas? Lucas Wilde? Lekarz? To... - Roześmiała się z niedowierzaniem. Adam Wilde jako lekarz byłby zaskoczeniem, ale Lucas... - Niemożliwe. Lucas był...

Urwała, doskonale pamiętając, jaki był Lucas Wilde przed piętnastoma laty.

Preston przyglądał się jej przez chwilę, po czym się roześmiał.

- No proszę, a nie mówiłem? Duchy. I to nie były jakie, sądząc po wyrazie pani twarzy.

- To nie żadne duchy - odparła stanowczo. - Nikt przecież nie umarł. Jestem po prostu zaskoczona. Lucasa Wilde'a wyrzucono ze szkoły. Jeździł harleyem davidsonem i mówiono, że bierze narkotyki. Zadawał się z bardzo podejrzanym towarzystwem. Trudno mi uwierzyć, że dziś jest lekarzem.

- Zadawał się z bardzo podejrzanym towarzystwem - powtórzył kpiąco Preston Stock. - Pani naprawdę była bardzo grzeczną dziewczynką, co?

Tym razem nie miała ochoty zaprzeczać. Gorączkowo

rozmyślała o Lucasic Wildzie i duchy z przeszłości, o których tyle mówił Stock, rzeczywiście wróciły.

Lucas...

Była w nim strasznie zakochana. Nie, to wcale nie było straszne, lecz cudowne. I trwało całymimi latami. Jej zainteresowanie zbuntowanym siedemnastoletnim chłopcem zaczęło się, gdy miała trzynaście lat, a skończyło...

Skończyło, szczerze mówiąc, dopiero kiedy w wieku osiemnastu lat wyjechała na studia do Nowego Jorku, choć Lucasa dawno już wtedy nie było w Darrensbergu. Jej nie spełnione uczucie karmiło się jedynie wspomnieniami: Lucas pędzący na motorze; Lucas z Chrisem, starszym bratem Francęski, u nich na werandzie ku niezadowoleniu rodziców; pocałunek Lucasa pewnego magicznego wieczoru.

Marzyła o nim po nocach, całymimi godzinami obsesyjnie rozważała każde przypadkowe słowo, które rzucił w jej stronę. Udając, że czyta, wysiadywała na schodkach przed domem w oczekiwaniu, iż może będzie tamtędy przejeżdżał.

Jeśli przypadkiem przejeżdżał albo - niewiarygodne, choć prawdziwe - wstąpił, żeby się zobaczyć z Chrisem i od niechcienia się do niej odezwał, nie była w stanie przełknąć kolacji. Nie słyszała nawet, co się do niej mówiło przy posiłku, zajęta marzeniami o przyszłości z Lucasem. Wyobrażała sobie, że wyprowadza go na ludzi, że biorą ślub, że odjeżdżają w podróż poślubną jego motocyklem.

Dzięki Bogu, że człowiek z tego wyrasta, pomyślała teraz z uśmiechem, spoglądając na talerz stygnących pierożków.

W pamięci pozostał jej jedynie niewyraźny wizerunek

młodego, silnego mężczyzny o niebieskich oczach, w skórzanym ubraniu. Wspomnienia i marzenia zajmowały jej cały wolny czas, jednocześnie sprawiając, iż inni chłopcy w ogóle jej nie interesowali. Za wszelką cenę chciała zwrócić na siebie jego uwagę, a w jej przypadku polegało to na dobrej nauce i uzyskaniu takich wyników w szkole średniej, że śpiewająco dostała się na wstępny rok medycyny w nowojorskim uniwersytecie Columbia.

Lucas Wilde znikł już wówczas z miasteczka i mówiło się o nim tylko w najkoszmarniejszych plotkach. Podobno miał jakiś okropny wypadek drogowy w New Jersey, a już na pewno nie miał pojęcia o jej naukowych osiągnięciach.

Teraz mogła mu jedynie podziękować za doskonałe przygotowanie do zawodu lekarza, a oto okazuje się, że on zajmuje się tym samym.

Nadal trudno jej było w to uwierzyć.

- Wśród pacjentów jest kilku prawdziwych potworów - oznajmił właśnie doktor Stock.

Mówił już od kilku chwil, charakteryzując bywalców przychodni, ale zajęta wspomnieniami Francesca nie słyszała z tego ani słowa, od czasu do czasu tylko grzecznie potakując.

- Tak? Kto? - spytała, koncentrując uwagę na ostatniej uwadze.

- Przede wszystkim Sharon Baron.

- Kto?

- Sharon Baron. Jej rodzice pewno sądzili, że należy ją dowcipnie nazwać. Podobno ma brata imieniem Daron i siostrę Caron, ale nie miałem szczęścia ich poznać. Sharon natomiast widuję dość często.

Przez następny kwadrans Preston złośliwie opisywał jej przyszlých pacjentów, ale w końcu sama go o to prosiła. Nadal jednak słuchała go dość nieuważnie. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że Lucas Wilde został lekarzem.

- Powiedział pan, że Lucas nie będzie stanowił wielkiej konkurencji, ponieważ nie jest popularny. Dlaczego? - spytała lekko drżącym głosem, starając się, aby jej pytanie zabrzmiało zdawkowo.

Preston Stock wzruszył ramionami.

- Wie pani, szalona młodość, i tak dalej. Ludzie nie zapominają. W jego przypadku plotki są nieprzyjemne, choć nie znam szczegółów. Skoro zaś stary doktor Wilde stracił prawo wykonywania zawodu... Swoją drogą nie słyszałem nic o tym, a szkoda! Ciekawe, co on takiego przeszkrobał? Zarzuty wobec Lucasa dotyczą, oczywiście, narkotyków. Kiedy lekarz nie cieszy się popularnością, zawsze łączy się go z narkotykami i zarzuca wypisywanie nielegalnych recept, robienie sobie zastrzyków między jednym pacjentem a drugim, i tym podobne. Być może w jego przypadku to prawda.

- Wątpię — odparła, absurdalnie rozczarowana.

Czyżby nadal brała sobie do serca jego zachowanie? Zazywanie narkotyków przez lekarza to jednak poważny problem i nie chciała uwierzyć, że Lucas ma z tym coś wspólnego.

- Może to tylko głupie plotki - stwierdziła obojętnym tonem.

- Może...

Preston Stock znów wzruszył ramionami. Specjalnie go to nie interesowało.

- Musze powiedzieć, że kiedy się spotkaliśmy kilka razy, niczego podejrzanego nie zauważyłem - dodał lekko.

- Powinnam niedługo do niego zadzwonić albo wpaść i odnowić starą znajomość - podsumowała Francesca. - Dwadzieścia lat temu ojciec i doktor Wilde rywalizowali z sobą, ale dziś to nie ma sensu. Jest tu dość miejsca dla dwóch lekarzy. Powinniśmy zostać przyjaciółmi albo przynajmniej dobrymi kolegami. Jestem pewna, że te narkotyki...

- Jasne, jasne. W takim miasteczku wszyscy zawsze przesadzają. Dobrze, że nie wiem, co mówią o mnie. - Dopił kawę i nerwowo poruszył się na krzesle. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym dziś po południu wrócić do Nowego Jorku. W poniedziałek zaczynam pracę w milutkiej przychodni dermatologicznej. Teraz musimy jeszcze wrócić do biura.

- Dobrze.

Preston Stock był już myślami w Nowym Jorku. Jego trzymiesięczna praca w Darrensbergu wypełniała tylko czas między jedną prawdziwą praktyką a drugą, dostarczając przy okazji trochę zajęcia i rozrywki.

Właściwie nie mogła mu mieć tego za złe. Ktoś, kto przyjeżdża tylko na zastępstwo, nie może i nie powinien się głębiej angażować. Dla niej, w przeciwieństwie do Prestona, Darrensberg ma być miejscem zawodowej kariery.

Dla niej i dla Lucasa Wilde'a.

- Jedyne, czego pani zazdroścę, to ten dom - oznajmił Preston, kiedy mijali siedzibę Bradych w drodze do przychodni. - Od dzisiaj będę się gnieździł w maleńkim mieszkaniu na Manhattanie.

- To wspaniały dom - potwierdziła z dumą w głosie Francesca.

Dom Bradych, podobnie jak położony niedaleko dom Wilde'ów, powstał w ubiegłym stuleciu, gdy wycinanie wspaniałych lasów w pobliskich górach Adirondack przynosiło miasteczku dobrobyt.

Obecnie Darrensberg więcej zarabia na turystyce - narciarstwie w zimie i sportach wodnych w lecie. Część wiktoriańskich budynków przerobiono na pensjonaty i restauracje, część nadal pozostała w nie zmienionej formie, jak ośrodek praktyki lekarskiej Bradych, część zaś nadawała się już tylko do rozbiórki.

Francesce najbardziej podobał się rodzinny dom, nie tylko z oczywistych, uczuciowych względów, lecz także dlatego, że rodzice bardzo o niego dbali. Zeszłej jesieni ojciec, jeszcze przed zawałem, kazał odmalować cały dom wewnątrz i z zewnątrz, wymienić piec na nowocześniejszy, całkowicie zmienić wyposażenie kuchni, wycyklinować drewniane podłogi i naprawić zniszczony dach.

Nie przyszło mu to łatwo. Pierwszy wykonawca zbankrutował i nie zrobił tego, za co miał zapłacone, więc drugiego rzemieślnika ojciec pilnował na każdym kroku.

- I to mu zaszkodziło - stwierdziła pewnego dnia matka, kiedy ojciec leżał jeszcze w szpitalu. - Gdyby nie stres, kłopoty i zmartwienia, może nie dostałby zawału. On po prostu musi sam wszystkiego dopilnować. Uważa, że nikt inny nie jest dość uczciwy ani kompetentny, a już po tym doświadczeniu z wykonawcą kuchni...

Drżące ręce matki zaniepokoiły Francescę.

- Nie pozwól mu wtrącać się do praktyki, Francesco

-poprosiła matka. - Nie rozmawiaj z nim na ten temat. Powiedz mu, że wszystko ci wyjaśniłam, i przypomnij, że masz w tej chwili lepsze kwalifikacje od niego.

Musi to zrobić! I tak, odkąd rodzice na stałe przenieśli się do domku na Florydzie, ojciec dzwonił kilkanaście razy. Niezbyt pociągająca osobowość doktora Stocka, którego stary lekarz musiał niemal z dnia na dzień przyjąć na zastępstwo, nie ułatwiała sprawy.

Powinam była sama znaleźć zastępcę, uznała ponieważ Francesca.

Razem z Prestonem wchodziła teraz do poczekalni. Lekarz przejrzał kartotekę pacjentów i omówił z Francescą jeszcze kilkanaście najważniejszych przypadków, przedstawił jej stan zaopatrzenia w leki i materiały opatrunkowe, opowiedział o zaletach poszczególnych przedstawicieli firm farmaceutycznych, którzy pojawiali się tu od czasu do czasu, i poinformował, w jakich godzinach przyjmował.

Najwyraźniej wzorował się na jej ojcu, ale Francesca zamierzała poczynić istotne zmiany i pokazać, że teraz ona jest tutaj szefem.

- Tu są klucze - powiedział. - Na pewno pamięta pani, który jest od czego. Takie informacje szybko do człowieka wracają.

- Jak duchy?

- Jak duchy - przytaknął. - Ma pani mój adres i telefon w Nowym Jorku, prawda? Chyba wobec tego mogę się już pożegnać.

- Oczywiście. Ja też muszę się jeszcze rozpakować.

Przyjechała dopiero dziś rano, wysyłając większy bagaż poprzedniego dnia i zabierając resztę samochodem.

- Będziemy w kontakcie - mruknął, rzucając jej ostatnie, pożegnalne spojrzenie.

Obawiał się zapewne, że będzie go zadrećczać telefonami. Po jego wyjściu spojrzała najpierw na stertę paczek poskładanych w holu i w wielkiej, wiktoriańskiej kuchni.

Nie przejmując się zupełnie nie rozpakowanymi rzeczami, przez następne pół godziny wędrowała po domu, podziwiając nowy wystrój wewnątrz, odkrywając na nowo stare kąty, oglądając meble, które zostawili jej rodzice, a właściwie matka, bo to ona musiała się zająć przeprowadzką.

Przed południem doktor Stock przyjął ostatnich pacjentów, a Francesca zaczynała pracę dopiero w poniedziałek. Miała trochę wolnego czasu i nagle przyszło jej do głowy, by odwiedzić Lucasa Wilde'a.

Przypomnieć mu się po latach niewidzenia. Przyjrzeć mu się i zapomnieć o głupich plotkach Prestona. Skończyć ze starą, w gruncie rzeczy śmieszną, prowincjonalną rywalizacją między Wilde'em a Bradym i nawiązać pozytywny kontakt z nowym kolegą i starym obiektem westchnień.

Ciekawe, jaki on teraz jest? Najlepiej od razu się przekonać.

Zamknęła dom i wyszła na ulicę, skapaną w popołudniowym słońcu późnego maja. Okoliczni mieszkańcy doprowadzali do porządku swoje posesje - zapewne po raz pierwszy od zimy - i powietrze wypełniał warkot elektrycznych kosiarek oraz przyjemny zapach świeżo ściętej trawy. Czy Lucas też będzie kosił trawę?

Może ma rodzinę, żonę i dzieci? Przecież w tym roku kończy trzydzieści cztery lata. Zawahała się, nie będąc

pewna, czy powinna działać tak impulsywnie. Nadal nie potrafiła sobie wyobrazić Lucasa Wilde'a w roli lekarza.

Co naprawdę kryło się za suchymi uwagami ojca na temat praktyki starego doktora Wilde'a? Kilka razy pytała o szczegóły, ale ojciec zbył ją ogólnikami. Ciekawe, kiedy Lucas przejął praktykę ojca? Tata nic o tym nie wspominał, może nawet o niczym nie wiedział.

Niepewna i lekko onieśmielona, szła jednak dalej. Po chwili zobaczyła przed sobą siedzibę Wilde'ów. Początkowo nie wierzyła własnym oczom. Czyżby się pomyliła i trafiła do domu Keatingów? Nie, to na pewno dom Wilde'ów, choć bardzo zmieniony.

Otoczająca posesję weranda zapadła się i straciła większość drewnianych ozdób. Mocne wiktoriańskie deski były odrapane i zniszczone. Przepiękny niegdyś ogród straszyl zaniedbaniem, w górnych oknach widać było popękane szyby, a w dachu brakowało dachówek.

Czyżby stało się tak z powodu poprzedzonego skandalem odejścia doktora Wilde'a? Francesca znów się zawahała. Zawrócić? Nie, ktoś mógł już ją spostrzec przez okno.

Ale którądy wejść? Przez okazałe, choć zaniedbane drzwi frontowe czy boczne, które, tak jak i w jej domu, są jednocześnie wejściem do przychodni? Podjęła decyzję, kiedy zauważyła, że boczne drzwi stoją otworem.

Wchodząc po schodkach, pomyślała, że niegdyś do głowy by jej nie przyszło, iż spotkaniu z Lucasem Wilde'em towarzyszyć będzie litość.

W zapuszczonej poczekalni nie było nikogo; na ładnym

zabytkowym biureczku znajdował się dzwonek i starannie wykaligrafowany napis: Proszę zadzwonić i zająć miejsce.

Pożałowała, że wcześniej nie zatelefonowała ani nie zwróciła większej uwagi na słowa Prestona Stocka, który określił praktykę lekarską Wilde'a jako rzecz zupełnie nieistotną. Co się za tym kryło? Gdyby wiedziała, że tak to wygląda, nigdy by nie przyszła bez uprzedzenia.

Zadzwonić? Nasłuchiwała przez chwilę, ale wokół panowała głęboka cisza. Być może uda jej się wyjść i zniknąć za rogiem, nim ktokolwiek się zjawi...

Ruszyła na palcach z powrotem do drzwi, ale stara podłoga skrzypnęła, ktoś poruszył się w recepcji, usłyszała trzask zamykanej szuflady i głos, który natychmiast rozpoznała.

- Czym mogę służyć?

Odwróciła się ze struchlałym sercem, czując się jak złodziej, i stanęła z nim twarzą w twarz.

Tak, niewątpliwie ma przed sobą Lucasa Wilde'a, który uważnie jej się przyglądał, zapinając spinkę w mankiecie koszuli. Lucasa, który kiedyś zawładnął jej sercem, przez którego nie mogła w nocy spać. Szukała rozpaczliwie jakichś słów, podczas gdy on przyglądał jej się obojętnym wzrokiem. Po chwili w jego oczach zabłysło niedowierzanie.

- Chess? Chess Brady? - spytał.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Chess.

Od lat nikt tak nie nazywał Franceski. Nawet jej brat, Chris, który wymyślił to przezwisko, choć - oczywiście - mówił tak do niej piętnaście lat temu i dlatego zapamiętał je Lucas Wilde.

- Dziwię się, że mnie poznałeś.

- Jasne, że cię poznałem. Chwilę to trwało, czas stanął w miejscu, jak to mówią - rzekł, uśmiechając się gorzko.

- Wiele się nie zmieniłaś; nadal jesteś ładną, złotowłosą księżniczką.

Poczuła się do głębi urażona jego lekceważącymi słowami.

- Trochę się jednak zmieniło - zaprotestowała, wyciągając do niego rękę. - Teraz jestem doktor Francesca Brady i przejmuję praktykę ojca.

- Wiem. Kiedy zaczynasz?

- W poniedziałek.

- Prawda, słyszałem, ale nie wiedziałem, że to tak prędko.

Nie podał jej ręki, Francesca jednak nie miała zamiaru dać się pokonać w tak głupiej sprawie. Nie była już zapażoną w niego piętnastolatką. Trzymała wyciągniętą rękę, patrząc prosto w jego niebieskie i błyszczące złością oczy.

Po chwili, z niechęcią, Lucas krótko uściskał jej dłoń i prędko cofnął rękę, choć nadal wpatrywał się w nią drwiąco.

Przez moment żadne z nich się nie odzywało. Wpatrywali się w siebie w milczeniu, a Francesca miała czas, by ocenić, jak Lucas zmienił się przez minione lata. Podświadomie nadal oczekiwała, iż zobaczy go w skórzanej kurtce i z kaskiem pod pachą. To wyobrażenie tak bardzo utkwiało jej w pamięci, iż obecne konserwatywne ubranie Lucasa wydawało jej się sztuczne.

Miał na sobie jasnoszare spodnie, białą koszulę, porządnie wyczyszczone czarne buty i - rzecz kiedyś nie do pomyślenia! - ciemnoszary krawat, dobrany do spodni.

Z jednej strony taki styl zupełnie do niego nie pasował, z drugiej - wyglądał w tym stroju znakomicie.

- Teraz są godziny przyjęć - powiedział w końcu. - Masz do mnie jakąś sprawę?

- Jest u ciebie pacjent?

- W tej chwili nie.

- To...

Chciała nawiązać z nim kontakt, zapomnieć o niemiłym powitaniu, tak bardzo nieoczekiwanym, ale Lucas nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Chcąc odzyskać kontrolę nad sytuacją, pomyślała o swoim eleganckim domu, tak różnym od zniszczonego wnętrza, w którym się teraz znajdowała. Lucas Wilde nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby się nad nią wywyższać.

- Pomyślałam, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać. Zdaję sobie sprawę, że nasi ojcowie nigdy nie byli w dobrych stosunkach, lecz ty przyjaźniłeś się przecież z moim bratem. Wspominam cię... hm... raczej ciepło

i nie widzę żadnej rozsądnej przyczyny, dla której nie mielibyśmy oboje prowadzić praktyki w Darrensbergu.

Jest tu dość miejsca dla dwóch lekarzy, a poza tym wydaje mi się, że mamy trochę inne specjalności. Moglibyśmy czasem podyskutować o poszczególnych przypadkach, przysyłać sobie wzajemnie pacjentów. Zanim zostałam lekarzem rodzinnym, miałam roczną praktykę w...

- To wprost niewiarygodne! - przerwał jej. - Wracasz tutaj ze swoim nowiutkim dyplomem, przejmujesz w spadku wszystkich lojalnych i wypłacalnych pacjentów tatusia, a potem myślisz, że możemy być „przyjaciółmi”, „kolegami”, „przysyłać sobie wzajemnie pacjentów”, „dyskutować”. Nic z tego, moja droga.

- Jest tu dość pracy dla dwóch lekarzy.

- Powiedz to swojemu ojcu.

- Ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Cztery miesiące temu miał atak serca i zgodził się przejść na emeryturę tylko pod warunkiem, że ja przejmę praktykę. Nie znam właściwie... - zawahała się - powodów, dla których twój ojciec zrezygnował z pracy, ale to chyba nie ma teraz znaczenia. Jesteśmy następnym pokoleniem, możemy zacząć od początku i współpracować. Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły.

- Właśnie widzę, że nie rozumiesz.

Wzdrygnęła się, słysząc w jego głosie nieprzyjemny ton.

- Boisz się mnie, co? - powiedział ze śmiechem.

- Na pewno nie. Przeceniasz się, mój drogi. Jestem raczej zaniepokojona twoim zachowaniem.

- O tak. Pamiętam te twoje szeroko otwarte oczy sprzed piętnastu lat. Jaki ojciec, taka córka, co? Zawsze

uważałaś mnie za nicponia. Taka grzeczna dziewczynka jak ty... Patrzysz na mnie, jakbym chciał cię zjeść. Parę razy miałem ogromną ochotę, żeby...

Urwał nagle, nim mogła domyślić się, co chciał powiedzieć, lecz gwałtowny ton jego głosu przypomniał jej ten jeden, jedyny raz, gdy ją pocałował. On na pewno już dawno o tym zapomniał. Jej samej to wydarzenie już się niemal zatarło w pamięci, chociaż wówczas rozmyślała nad nim przez wiele miesięcy.

W gruncie rzeczy to było dość zabawne, skostatowała teraz. Młody arogancki chłopak o niezbyt dobrej opinii i naiwna, grzeczna panienska z dobrego domu. Ogród w letnim zmierzchu. Rzadki, niespodziewany moment, gdy znaleźli się sami.

Miała wówczas zaledwie piętnaście lat i nikt jej wcześniej nie całował. Początkowo była zaskoczona tym, co zrobił, lecz już po sekundzie odwzajemniła pocałunek. Po kilku cudownych chwilach oboje usłyszeli wysoki, zaniepokojony głos jej matki:

- Gdzie jesteś, Chess?

Lucas zniknął w mroku. Przez cały czas nie odezwali się do siebie ani słowem.

To wszystko było istotnie dość śmieszne, ale jakoś pozostało w jej pamięci na zawsze, razem ze wspomnieniem pierwszego dziecka, które przyjęła na świat, i pierwszej śmierci pacjenta.

Czyżby jej życie było tak nudne i pozbawione dramatycznych przeżyć? Nawet teraz czuła, że poca jej się dłonie i nogi odmawiają posłuszeństwa. Stali blisko siebie, po raz pierwszy sami od czasu owego pamiętnego wieczoru.

Mimo wszystko chciała nawiązać z nim jakieś porozumienie, choćby na płaszczyźnie zawodowej, i wybić mu z głowy niepotrzebną, irracjonalną wrogość.

- Czy moglibyśmy napić się kawy? Naprawdę zależy mi na...
mina...

- Nie, nie moglibyśmy! Ciągłe patrzysz przez różowe okulary, czekasz na wspólne pogaduszki i wymianę zdań, co? Tak nie będzie, Francesco. Piętnaście lat temu twoja naiwność była... słodka. A teraz rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie lubię twojego ojca i pogardzam nim bardziej niż jakimkolwiek innym człowiekiem. Ciebie, to nie dotyczy. Z pewnością jednak nie poprawi mi humoru twoja świetnie prosperująca praktyka, podczas gdy ja... muszę się urobić po łokcie, żeby zarobić na życie. Nie rozumiesz?

- Chyba rozumiem.

Dlaczego jej ojciec miałby być przyczyną kłopotów Lucasa? To jego ojciec stracił prawo do leczenia. Lucasowi coś się pomyliło. Nagle zrobiło jej się go żal.

Jego praktyka z pewnością nie przynosi wielkich profitów. Powiedział, że teraz przyjmuje, a jaki lekarz musi pracować w sobotnie popołudnie? W dodatku, odkąd przyszła, nie zjawił się ani jeden pacjent, za biurkiem nie widać recepcjonistki, nie kręci się tu żadna pielęgniarka. Tak, należy mu tylko współczuć.

Z nieprzyjemnym grymasem Lucas spojrział na zegarek. Najwyraźniej czekał, aby sobie poszła. Piętnaście lat temu niewątpliwie już dawno by uciekła, jednak teraz czuła się znacznie pewniej.

- Trudno, nie będzie kawy - stwierdziła, nie poddając się. Niemniej jednak chciałabym się czegoś dowiedzieć.

Ostatnio, kiedy cię widziałam, wyrzucono cię ze szkoły i pracowałeś" jako mechanik samochodowy. Potem wyjechałeś, prawda? Teraz jesteś lekarzem rodzinnym. Z pewnością nie przyszło ci to łatwo.

- Masz rację. Musiałem skończyć szkołę średnią, a potem studia. Przez półtora roku specjalizowałem się w endokrynologii, a potem doszedłem do wniosku, że interesują mnie także inne dziedziny medycyny. Kiedy zdarza się coś, co całkowicie zmienia twoje życie, na ogół jest to coś bardzo ważnego.

- Co takiego ci się przydarzyło? Nic nie wiem. Nawróciłeś się czy...

- Nawróciłem? - roześmiał się z niedowierzaniem.

- To się zdarza.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Z powodu mojego ubrania? Myślałaś, że nadal noszę skórzaną kurtkę?

- Nie, ja...

- A czemu ty masz na sobie granatową garsonkę z lnu, a nie luźną prześwitującą sukienkę? Nieważne. Jestem ubrany tak, jak jestem, bo miałem nadzieję zmienić zdanie tutejszych ludzi na mój temat. Na razie mi się nie udało. Wracając do twojego pytania o to, co było punktem zwrotnym w moim życiu... Nie, nie ten moment, kiedy mi kazano, żebym się wyniósł z miasta. To było później, w New Jersey. Urhał mój syn.

- Och!

- Nie przejmuj się. Dobrze, że nie przeżył. Był wcześniakiem, a jego matka brała. Mieliśmy wypadek motocyklowy i urodził się siedemnaście tygodni za wcześnie. Nie miał żadnych szans. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko

temu, powiem ci grzecznie do widzenia. Spodziewam się pacjentki. Nie martw się, to nikt z pacjentów twojego ojca. Na pewno mi nie zapłacą.

- Co? - wykrzyknęła z oburzeniem. - Myślisz, że zależy mi tylko na pieniądzach! Pracuję także dla kasy chorych i przyjmuję zapłatę w ratach.

Całkowicie ją ignorując, otworzył drzwi. Bezzębna kobieta, w wieku mniej więcej czterdziestu lat i w bardzo zaawansowanej ciąży, powoli szła krzywym chodnikiem z boku domu. Najwyraźniej przyjechała dużym, zardzewiałym i poobijanym samochodem, który stał przy krawężniku.

- Witaj, Karen - rzekł Lucas z uśmiechem.

Jego uśmiech był taki sam jak przed piętnastoma laty i tak samo działał na Francesce, nawet jeśli nie był dla niej przeznaczony.

- Niech pani wejdzie.

- Oj, panie doktorze, cieszę się, że mnie pan przyjmie. Kiepsko się dzisiaj czuję.

W chwilę później upadła niespodziewanie na podłogę. Atak rzucawki ciężowej, pomyślała Francesca.

- Przypilnuj jej - poprosił Lucas. - Przyniosę valium. Uważaj, żeby sobie czegoś nie zrobiła. Ma na pewno za wysokie ciśnienie.

Otworzył drzwi swego małego gabinetu. Po chwili podał jej małą płytkę, którą z trudem włożyła kobiecie do ust.

- Wezwać karetkę? - spytała.

- Tak, być może urodzi.

- Kiedy przypada termin?

- Za tydzień albo dwa, nie pamiętam dokładnie.

Zauważyła ze zdumieniem, że Lucas szybko wypija butelkę soku pomarańczowego, po czym pochłania kanapkę z masłem orzechowym, i to w takim tempie, jakby od tego zależało jego życie.

- Ale przecież... Nie przychodziła do ciebie na kontrolę w czasie ciąży?

- Od czasu do czasu. Ostatni raz była chyba z miesiąc temu. Zdaje się, że jej faceta z samochodem nie było w mieście. Nie traćmy czasu na głupstwa. Dzwonź po karetkę.

- Gdzie jest telefon?

- Tutaj.

Lucas poszedł umyć ręce, Francesca zaś wykręciła numer pogotowia. Jaki tu jest adres? - myślała gorączkowo.

- State Street - powiedziała do słuchawki. - Taki obdrapany biały dom. Dom Wilde'ów.

- Numer 135 - odpowiedział Lucas, który już wrócił i dożylnie aplikował kobiecie valium.

Po pięciu minutach drgawki ustały i Francesca mogła wyjąć z ust chorej płytkę.

- Musimy ją dokładnie monitorować.

- I dziecko.

- I dziecko - powtórzył Lucas.

- I trzeba ją przenieść do twojego gabinetu.

- To nie będzie łatwe. Podczas ostatniej wizyty ważyła... Nie pamiętam dokładnie, ale chyba ze sto dwadzieścia kilo. Mam nadzieję, że jesteś dość silna.

Pomyślała, że wszystko, co mówi Lucas, brzmi jak oskarżenie. Na szczęście, dali sobie radę. Przesunęli Karen

na koc, wciągnęli do gabinetu i z trudem ułożyli na stole. To ułatwiało zmierzenie ciśnienia i badanie wewnętrzne.

- Czy ma skurcze? - spytała Francesca.

- Trudno powiedzieć. Odzyskuje przytomność. Spytajmy. Karen?

Dopiero teraz Francesca zdała sobie sprawę, że Lucas nie mówi „Karen” lecz „Caron”. To znaczy, że jest to siostra Sharon Baron, o której opowiadał Preston Stock.

- Caron, już wszystko dobrze. - Lucas delikatnie potrząsał pacjentką. - Zaraz przyjedzie karetka. Masz bóle?

- Miałam.

- Posłuchamy teraz tętna dziecka, zmierzymy ci ciśnienie i sprawdzimy rozwarcie szyjki.

Francesca przygotowała aparat do mierzenia ciśnienia. Sto osiemdziesiąt na sto pięć. Stanowczo za wysokie. Caron miała spuchniętą twarz, ręce i nogi z powodu zatrzymania moczu i prawdopodobnie łożysko nie funkcjonowało należycie. Lucas zakończył badanie ginekologiczne.

- Brak rozwarcia. Na razie nie urodzisz, Caron.

- Nie? - spytała z jękiem. - Mogę wrócić do domu?

- O, nie, moja droga, w żadnym wypadku.

Lucas słuchał tętna płodu za pomocą specjalnego stetoskopu. Przynajmniej miał niezbędne wyposażenie.

Tętno w porządku. Chwileczkę...

Kobieta skrzywiła się, a potem jęknęła.

-. Boli, Caron?

Kiwnęła głową i znów zajęczała. Po chwili zapadła w sen.

- Zdaje się, że jednak poród się zaczyna - stwierdził Lucas. - To chyba lepiej.

- Pod warunkiem, że nie zaszkodzi dziecku - zauważyła Francesca.

- Mamy czas się o to martwić. Na razie dam jej kroplówkę.

Francesca w tym czasie posłuchiwała tętna dziecka i ponownie zmierzyła kobiecie ciśnienie. Przypadkowy obserwator mógłby się dziwić, że Lucas podaje chorej jeszcze więcej płynów, mimo jej opuchniętego ciała, ale kroplówka miała nawodnić łożysko.

- Kolejny skurcz - oznajmił Lucas kilka minut później. - A więc co ile? Co pięć minut?

- Mniej więcej. Nie patrzyłam na zegarek.

- W porządku, Caron, słuchamy tylko tętna dziecka.

Lucas spojrział pytająco na Francescę.

- Zwalnia - odparła zniechęcona. - Całkiem wyraźnie. Teraz się poprawiło, kiedy minął skurcz.

. - Musimy ją trochę unieść z prawej strony. To nie jest dobra pozycja.

Z trudem udało im się podłożyć zwinięte ręczniki pod szerokie biodro Caron, ale pięć minut później przyszedł następny skurcz i tętno płodu ponownie osłabło.

- Jak długo może jechać karetka z Wayans Falls? - spytała z irytacją Francesca.

- Pół godziny. Ta droga jest tak samo kiepska jak kiedyś.

- Dzwoniłam jakieś piętnaście minut temu, prawda? A co będzie, jeśli nie wyjechała od razu? Czy zrobimy cesarskie cięcie, jeśli tętno zaniknie? - Była zdenerwowana i blada.

- Wolałbym tego uniknąć.

- Ale teoretycznie moglibyśmy to zrobić?

- Mam środek na rozluźnienie mięśni i podtlenek azotu, ale one nie zlikwidują całkiem bólu nacięcia. Myślę, że pomoże valium. Moglibyśmy wykorzystać środek odurzający, choć to niewskazane dla dziecka... Poza tym ostatnie cesarskie cięcie robiłem pół roku temu.

- Ja robiłam niedawno i mam za sobą rok praktyki na położnictwie.

- Caron jest bardzo gruba.

- Tak, to przedłuży sprawę.

- Musimy działać szybko.

- Niskie nacięcie?

- Niezbyt niskie. Caron ma włókniaki.

- A w dodatku nie możemy jej całkowicie znieczulić.

- Zrobię, co mogę, ale narkotyk jest ryzykowny, a jeśli tętno zanika.

- Dziecko... Moje dziecko... - załkała zniecka Caron, otwierając oczy.

Lucas odciągnął Francescę na bok, jedną ręką masując ramię Caron, choć robił to odruchowo.

- Posłuchaj, Chess, ona bardzo chce je mieć. Wiem, że trudno w to uwierzyć, lecz to jej pierwsze dziecko. Ma czterdzieści jeden lat, jest biedna jak mysz kościelna, mieszka w przyczepie i jej partner nie jest zupełnie zdrow na umyśle, ale ona chce tego dziecka. Czytała nawet książki o pielęgnacji niemowląt, mimo że jej umiejętność czytania jest na poziomie czwartej klasy szkoły podstawowej. Radziła się mnie też w sprawie karmienia piersią i wysadzania na nocnik. Ona nie może stracić tego dziecka.

- Wiem. Karetka na pewno zaraz przyjedzie. Nie mu-

simy się martwić. Nie wiem nawet, dlaczego o tym wszystkim mówimy.

- Bo na tym polega medycyna. Następny skurcz, uważaj.

Tym razem Lucas przyłożył stetoskop do brzucha ciężarnej.

- Niskie. Trzydzieści. Najwyżej czterdzieści.

- To mało. Idzie do góry?

Caron jęknęła i przesunęła się na stole.

- Osiemdziesiąt.

Spojrzeli na siebie, wiedząc, iż to ciągle za mało. Dobre tętno płodu powinno być co najmniej dwukrotnie wyższe niż u dorosłego, i wynosić od stu do stu czterdziestu uderzeń na minutę.

- Zaraz przyjedzie karetka - powtórzyła z naciskiem Francesca. - Za pięć minut. Może nawet prędzej. Przygotowanie jej do zabiegu potrwa znacznie dłużej. Musimy... To znaczy, czy w tym mieście jest jeszcze ktoś, kto mógłby nam pomóc? Jakaś pielęgniarka?

- Jest kilka. Ginny Traynór pracuje w szpitalu w Wanyans Falls. Betsy Schwab skończyła szkołę pielęgniarską, choć od paru lat nie pracuje. Zadzwońię do Ginny.

Lucas rzucił Francesce klucze do apteczki.

- Przygotuj lekarstwa i resztę narzędzi.

Podniósł słuchawkę, jednak Francesca, idąc po leki, nie słyszała jego głosu.

- Nikt nie odpowiada - poinformował ją, gdy wróciła.

- Nic dziwnego, taki ładny dzień.

Caron znów jęknęła.

- Następny skurcz? - mruknął pytająco Lucas. - Teraz już są co trzy, cztery minuty.

Tętno płodu znów spadło, po czym wróciło już tylko do sześćdziesięciu uderzeń na minutę.

- Musimy zaczynać, prawda? - rzekła Francesca pełnym napięciem głosem. - Nie możemy dłużej czekać.

Spojrzeli na siebie z takim samym milczącym porozumieniem jak wtedy, piętnaście lat temu, w ciemnym ogrodzie. Wspomnienie znikło równie szybko, jak się pojawiło.

Nagle rozległ się sygnał karetki.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Francesca.

Lucas potrząsnął głową.

- Dziecko nie przeżyje następnej pół godziny. Musimy tutaj operować, a potem zawieźć ją natychmiast do szpitala.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł na dwór, by pokazać kierowcy karetki, jak ma podjechać pod dom. Dwaj sanitariusze wyskoczyli z samochodu i wynieśli nosze.

- Pacjentka jest w środku - tłumaczył Lucas - ale nie można jej teraz zabrać. Musimy najpierw zrobić tu, na miejscu, cesarskie cięcie.

Caron znów zajęczała cicho. Tętno dziecka słabło coraz bardziej.

- Dobra, rozbieramy ją i intubujemy. Już. Ty to zrobisz, Francesco, a ja zajmę się znieczuleniem i czym jeszcze się da. Wy, panowie - Lucas zwrócił się do sanitariuszy - myjcie się i pomagacie.

Francesca poczuła, że robi jej się niedobrze. Wiele razy przeprowadzała cesarskie cięcia, lecz zawsze te operacje odbywały się w odpowiednich warunkach, z wyszkolonym personelem, przy użyciu najnowszych narzędzi i w obecności bardziej doświadczonego lekarza. Nigdy nie

operowała nikogo z taką nadwagą, a w dodatku to ona miała być ekspertem.

Sanitariusze byli tak samo zdenerwowani jak Francesca, tymczasem Lucas przejął dowodzenie. Rozbierał Caron, bezceremonialnie tnąc chirurgicznymi nożycami tam, gdzie nie mógł inaczej. Teraz oddelegował do tego zajęcia Raya McCalluma i Barry'ego Linza.

Po chwili zaintubował Caron i zaczął jej podawać tlenek azotu. Francesca dezynfekowała nagie podbrzusze Caron, usiłując sobie przypomnieć kolejność działania i zastanawiając się, jakie niespodzianki mogą ją spotkać w trakcie operacji.

- Masz rozwieracze? - spytała.

- Parę mam - odparł Lucas. - Przypuszczalnie nie takie duże, jakich byś potrzebowała. No, gotowe - dodał po chwili. - Bardziej nie mogę jej znieczulić. Bierzmy się do roboty.

Z początku Francesca myślała z przerażeniem tylko o tym, że operuje w zupełnie odmiennych niż szpitalne warunkach, ale po jakimś czasie skoncentrowała się na pracy i zaczęła nawet myśleć o możliwych komplikacjach i powikłaniach.

Skóra, gruba warstwa tłuszczu, krew, mięśnie, rozciągnięty pęcherz. Lucas miał rację. Rozwieracze były za małe, ale Ray potrafił je umiejętnie założyć.

- W porządku - uznała wreszcie. - Za moment będziemy mieli dziecko.

I po kilku minutach wyciągnęła na świat drobnego chłopca, sinego i wiotkiego, który nie był w stanie samodzielnie oddychać. Lucas dwukrotnie odessał mu usta i nos, lecz malec nadal nie potrafił zaczerpnąć tchu.

Minęło jeszcze parę sekund i Lucas kazał Barry'emu podłączyć noworodka do respiratora. Po chwili rozległ się oczekiwany głośny płacz, drobna pierś uniosła się i opadła, ciało zaczęło zmieniać kolor z siniego na różowy.

- Dzięki Bogu! - rzekła Francesca z westchnieniem.

- Dwa i pół do trzech kilo - oszacował Lucas.

Włożył noworodka do specjalnego inkubatora z karetki i obejrzał go dokładnie. Tętno, odruchy, kolor skóry, oddech. Pięć punktów w dziesięciostopniowej skali Apgara w pięć minut po urodzeniu. Po sześciu minutach punkty wzrosły do dziewięciu, co nieźle wróżyło na przyszłość.

Francesca wyjęła łożysko i dokładnie je obejrzała. Zdrowe. Dziecko tymczasem przestało płakać.

- Jest oszołomiony - stwierdził Lucas, zakrapiając do oczu noworodka srebrne krople azotanu. - Od znieczulenia i valium. Ale w zasadzie jest zdrow.

Po raz pierwszy od piętnastu minut Francesca znów zdała sobie sprawę z otaczającej ją rzeczywistości. Przede wszystkim była bardzo zmęczona i bolały ją dłonie. Przed sobą miała jeszcze co najmniej trzydzieści do czterdziestu pięciu minut szycia, ponieważ cięła szybko i teraz musiała starannie sprawdzić wszystkie naczynia krwionośne.

Wreszcie mogli podać Caron narkotyku, który całkowicie likwidował ból. Po zakończeniu operacji matkę i dziecko czekała podróż karetką do szpitala w Wayans Falls, pod opieką Franceski i Lucasa.

Półtorej godziny później było po wszystkim. Synek Caron, wykąpany na szpitalnym oddziale noworodków,

był pod specjalną obserwacją ze względu na chorobę matki i środki zastosowane przy porodzie. Caron Baron także otoczono troskliwą opieką.

Francesca i Lucas razem opuścili oddział intensywnej terapii i dopiero teraz mogli zdjąć czepki, fartuchy i maski, które włożyli do operacji. Zegar na ścianie wskazywał czwartą czterdzieści pięć.

- Weźmiemy taksówkę czy wrócimy autobusem? - spytała Francesca.

- Ostatni autobus odjechał o czwartej.

- No to została nam taksówka. Będzie taniej, jak zapłacimy do spółki.

- Ja na razie nie jadę - powiedział Lucas. - Muszę coś zjeść. Poza tym chcę poczekać, aż Caron całkowicie oprzytomnieje, co może potrwać parę godzin.

- To miło z twojej strony - rzekła impulsywnie Francesca. - Dziś niewielu lekarzy tak dba o pacjentów. Dobrze mi się z tobą pracowało.

Przez dłuższą chwilę panowała nieprzyjemna cisza.

- Doprawdy? Uważasz, że dbam o pacjentów? Jestem ci niesłychanie wdzięczny za protekcyjną aprobatę, ale pozwól, że coś ci powiem: to był pierwszy i ostatni raz, kiedy pracowaliśmy wspólnie, więc możesz sobie wybić z głowy wszelkie plany.

Poczuła się tak, jakby uderzył ją w policzek. Kilka godzin wcześniej też zachował się wobec niej nieuprzejmie, lecz myślała, że wspólna operacja i szczęśliwe przyjście na świat syna Caron zmieniło jego nastawienie do niej i że będzie mogła liczyć na zawodową przychylność, tak ważną w małym mieście.

Teraz wpatrywała się w niego kompletnie zaskoczona, dając mu doskonałą okazję do ostatniego słowa.

- Jestem pewien, że się jeszcze zobaczymy - powiedział niechętnym tonem i dodał: - Będę się starał, żeby to było jak najrzadziej.

Odszedł, zostawiając Francescę w stanie osłupienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Już pięć minut później, w taksówce, która kosztowała majątek, osłupienie Franceski ustąpiło miejsca wściekłości.

Ojciec Lucasa z jakiegoś powodu musiał zrezygnować z zawodu, a teraz Lucas nie umie sobie poradzić - być może plotki Prestona Stocka nie są takie bezzasadne - i odbija to sobie na niej. Tylko dlatego, że jej ojcu się powiodło.

W drodze do domu Francesca obmyślała zemstę, która mogłaby zmusić Lucasa do opuszczenia Darrensbergu. Albo - jeszcze lepiej - do tego, aby musiał błagać ją o posadę asystenta w jej doskonale prosperującym gabinecie. Oczywiście, zgodziłaby się dopiero wtedy, gdyby błagał ją na kolanach.

A może nie, może kupić praktykę Lucasa i kierować obydwoma przy pomocy rozlicznych asystentów?

Niestety, Francesca została wychowana według takich zasad, by się nie zniżać do tego rodzaju metod. Jeśli Lucas ją przeprosi, zapomni o całej sprawie albo nawet pomoże mu stanąć na nogi.

Najdziwniejsze było to, że tak kiepsko mu się wiedzie. Jako lekarz jest naprawdę utalentowany, co Francesca wyczuła w czasie wspólnej operacji. Mimo to mieszkańcy Darrensbergu nie ufają mu i nie chcą się u niego leczyć.

Zapłaciła kierowcy taksówki i weszła do domu, myśląc o tym, co powiedział Preston Stock: „Ludzie tak łatwo nie zapominają”. Czyżby nie mogli mu zapomnieć skandalu związanego z praktyką ojca? A może chodzi jeszcze o coś innego, głębszego, poważniejszego?

Po raz pierwszy pożałowała, że nie wypytała wcześniej o wszystko ojca, że nie odwiedziła go na Florydzie, by z nim porozmawiać o swej pracy w Darrensbergu i o mieszkańcach miasta.

Piętnaście lat temu była strasznie naiwna. Które z tych starych plotek są prawdziwe? Nie da się również wykluczyć, że część z nich mogła stworzyć jej młodzieńcza wyobraźnia.

Ciekawe, jaki naprawdę jest Lucas. Od niechcienia wspomniał o nieżyjącym dziecku, którego matka była narkomanką, ale przecież w swoim czasie musiał to przeżywać znacznie bardziej.

Ciekawe, co też mogą mu zarzucać mieszkańcy? Sama nie zauważyła niczego nagannego w jego zachowaniu tego popołudnia, no, może oprócz tego, że rzucił się na jedzenie w krytycznym momencie, tuż po ataku Caron.

- Niczego nie wymyślę - powiedziała na głos do pudeł i mebli stojących w korytarzu. - I nie wiem nawet, dlaczego mam się tym przejmować. Co mnie to wszystko tak naprawdę obchodzi? Niech Lucas radzi sobie sam, ja mam swoją pracę.

Następnego ranka obudziła się w swym starym pokoju i z rozkoszą stwierdziła, że świeci słońce i śpiewają ptaki. Przez te wszystkie lata pokój nic się nie zmienił. Na razie

zamierzała go tak zostawić, choć planowała także późniejsze zmiany. W końcu ma już trzydzieści lat i jej gust stał się bardziej wyrafinowany.

Chciała się przenieść do sypialni rodziców, a w swoim dawnym pokoju urządzić gabinet do pracy. Pokój Chrisa pozostałby pokojem gościnnym, a pokój jej siostry Luizy... Nie wiadomo, co z nim zrobić. Matka używała go do szycia.

Dom jest dla niej samej stanowczo za duży. Miała nadzieję, że w którymś momencie wyjdzie za mąż, a potem przyjdą na świat dzieci. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego do tej pory nie wyszła za mąż. Podczas studiów i późniejszej praktyki wiązała się przelotnie z różnymi mężczyznami, choć były to związki bardziej intelektualne niż emocjonalne. Ostatni romans zakończyła przed dwoma miesiącami.

Rob Hayes przyznał jej rację, że ich związek nie ma przyszłości. Francesca wybierała się na północ kraju przejąć praktykę lekarza rodzinnego po ojcu, a on zamierzał podjąć pracę na przedmieściach Waszyngtonu. I tak znalazła się tu sama, pełna ambicji zawodowych i wątpliwości dotyczących życia osobistego.

Postanowiła przerwać te rozmyślenia i zająć się czymś pożyteczniejszym: skończyć rozpakowywanie, pojechać po zakupy. Poprzedniego dnia nie zdążyła kupić nawet chleba i mleka, a Preston doszczętnie opróżnił lodówkę. Na kolację poprzedniego wieczoru zamówiła do domu pizzę.

Teraz miała ochotę na sok pomarańczowy, płatki i kawę. Wczorajsze resztki zimnej pizzy jakoś jej nie nęciły.

Wzięła prysznic, ubrała się i poszła w stronę garażu.

Było już po dziewiątej i Darrensberg tętnił życiem. Wierni wybierali się do kościoła, ci, którzy nie skosili trawy wczoraj, robili to dzisiaj. Z sąsiedztwa dobiegał stuk młotka i odgłosy piłowania.

Dom Lucasa znajdował się dość blisko i Francesca ruszyła piechotą w tamtą stronę. Ciekawość mieszała się w niej z uporem. Nie lubiła nie uporządkowanych spraw. Był niedzielny, wiosenny poranek i mogła śmiało udawać, że wybrała się na spacer. Poza tym Lucas może jej nawet nie zauważyć.

Tymczasem spostrzegł ją niemal natychmiast. Przerwał właśnie rozbiórkę zniszczonego ganku, rękawem otarł spocone czoło i podszedł do kranu przy garażu, żeby się napić wody.

- Cześć - powiedział z rezerwą.
- Dobry początek - pochwaliła go ciepło. Na pewno nie okaże mu żadnych nieprzyjemnych uczuć.
- Pójdzie mi szybciej, kiedy będę miał pomoc. - To było powiedziane jeszcze łagodniej.
- Szybciej? Prawie skończyłeś.
- Na razie skończyłem wyburzanie. Chciałbym dziś położyć nową podłogę.
- Przyjdą stolarze? - spytała, pragnąc podtrzymać rozmowę.

Dziś, w starych, wyblakłych dżinsach i obcisłej, bawełnianej koszulce, Lucas bardziej przypominał chłopaka sprzed lat, którego nie mogła zapomnieć. Wtedy widywała go wyłącznie w skórzanych lub dżinsowych ubraniach.

- Stolarze? Można ich tak nazwać. Tutejsi mieszkańcy,

którzy, pomagając mi, spłacają rachunki za leczenie. Z pewnością wypłacą mi się, nim skończą robotę, i jutrzejsi pacjenci, jeśli jacyś się trafią, będą się potykać na nie dokończonej podłodze.

- Zawsze masz taki zły humor? To do ciebie nie pasuje, kiedyś taki nie byłeś.

- Być może ty tak na mnie wpływasz - odparł, wzruszając ramionami.

- Ja? Dlaczego? Wczoraj zobaczyłeś mnie po raz pierwszy po piętnastu latach.

Znów to samo. Zwykła, zdawkowa rozmowa przeradza się w kłótnię. Dobrze, powie mu, co myśli.

- Chyba złościło cię wtedy to, że ciągle wodziłam za tobą oczami, ale...

- Wodziłaś za mną oczami? Przecież ty nigdy nie wodziłaś za mną oczami, Chess. - Nagle odwrócił się i spojrział na nią uważnie.

- No wiesz! Dziwię się, że tego nie zauważyłeś. Szalałam na twoim punkcie. Marzyłam, żeby cię chociaż zobaczyć.

- Czyżby? Nigdy się do mnie nie odzywałaś, chyba że zadałem ci pytanie, a i wtedy odpowiadałaś monosylabami. Nigdy na mnie nie patrzyłaś, sztywniałaś, kiedy podchodziłem bliżej. Zachowywałaś się tak, jakbyś się mnie bała.

- To wszystko prawda. Ale to dlatego, że tak bardzo mi się podobałaś.

- No ale w końcu taka grzeczna panienska jak ty nabrała rozumu. - Roześmiał się ironicznie. - Niech mnie...

- Nie wyobrażaj sobie za wiele. - Przywołała go do po-

rządki, nie reagując na zaczepne stwierdzenie o „grzecznej paniencie”. - To było piętnaście lat temu. Byłam wtedy inna.

- Ja też byłem inny. - Nadal uważnie ją obserwował.
- A więc zapomniałaś, że cię pocałowałem?

- Nigdy w życiu. Dziewczyny nie zapominają pierwszego pocałunku.

- Pierwszego?

- Oczywiście. Dlaczego? Myślałeś, że...

- Nie musisz się tak zaperzać. Po prostu byłaś niezła. Myślałem...

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Potraktuj to jako komplement. Zapewne jedyny, jaki ode mnie usłyszysz.

- I znów to samo? - spytała ze złością. - Naprawdę nie muszę tego słuchać.

- To nie słuchaj.

- Ależ ty jesteś zgorzkniały.

- Owszem - przyznał. - To pozytywne uczucie. Stanowi bodziec do działania, dodaje sił.

- Tylko na jakiś czas - odparła po namyśle. - Na twoim miejscu zastanowiłabym się nad sobą, Lucas. W końcu takie zachowanie wejdzie ci w krew i zatruje całe życie.

- Dam sobie radę.

I znów to on miał ostatnie słowo. Cóż mogła zrobić, aby przeciwstawić się jego agresywnemu cynizmowi? Nic. Pokiwała tylko z ubolewaniem głową i zawróciła do domu, już nawet nie udając, że wybrała się na spacer. Lucas nie odezwał się ani słowem i po chwili usłyszała za sobą stukot młotka.

Więcej tu na pewno nie przyjdę, obiecała sobie w duchu. Jeśli on coś ukrywa, mnie o tym nie powie. Niestety, nie mogę się opierać na plotkach, lecz i tak, prędzej czy później, dowiem się całej prawdy.

Kiedy wyruszyła do miasta po zakupy, okazało się, że kierunki ruchu na ulicach tak się w ciągu minionych lat pozmieniały, iż najkrótsza droga prowadziła obok domu Lucasa. Będzie musiała prawie codziennie koło niego przejeżdżać. Ta świadomość nie poprawiła jej humoru.

- Przyniosłam pani kawę, złotko - powiedziała wesoło Betty Mayberry, gdy następnego dnia o dziewiątej rano weszła do gabinetu Franceski.

Francesce lekko zirytował fakt, że recepcjonistka nie zapukała, postanowiła jednak na razie nic nie mówić. Pani Mayberry przez ostatnie dwadzieścia pięć lat była niezwykle lojalną, oddaną i zaufaną pracownicą ojca.

Poza tym Francesca w ogóle nie miała ochoty na kawę. Wypiła jedną filiżankę pół godziny wcześniej przy śniadaniu i to by jej zupełnie wystarczyło aż do czwartej, kiedy zamierzała wypić drugą kawę, aby dostarczyć sobie energii na ostatnią godzinę przyjęć.

Powiedziała to recepcjonistce grzecznie i delikatnie. Pani Mayberry uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Pani ojciec zawsze pił kawę o dziewiątej. Mówił, że go to stawia na nogi.

- Pamiętam - roześmiała się Francesca. - Dopóki nie dostał kawy, zachowywał się jak zły niedźwiedź.

- To prawda - przytaknęła radośnie recepcjonistka,

stawiając filiżankę z kawą na biurku Franceski, jakby zdążyła już zapomnieć początek rozmowy. - Nie mogę wprost uwierzyć, że jest pani lekarką! - dodała, cofając się o krok i kręcąc głową.

- Mam nadzieję, że pacjenci ojca uwierzą i nie przeniosą się od nas do doktora Wilde'a.

W jej zamyśle miał to być dowcip, lecz Betty Mayberry zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

- Nim się proszę nie martwić, złotko - rzekła po chwili. - On tu długo nie zagrzeje miejsca.

- Naprawdę? Dlaczego?

- To smutna sprawa. Właściwie żal mi go. I to jeszcze po tym skandalu z ojcem... Ale w końcu sam jest sobie winien.

- O czym pani mówi?

- Narkotyki - syknęła. - Czy doktor Preston nic pani nie mówił?

- Wspominał o jakichś plotkach...

- Chciałam powiadomić o tym władze, jednakże ze względu na Margaret Wilde... To zresztą nie będzie potrzebne. Tam już prawie nie ma pacjentów, a ci, co przychodzą... Lepiej nie mówić, na pewno sami się narkotyzują. To prawdziwa tragedia. Jaki ojciec, taki syn. Wiem, że nie słyszała pani o tym, złotko, ale jest pani teraz lekarką, więc mogę pani powiedzieć. On zabił kobietę.

- Lucas?

- Nie, nie Lucas. Jego ojciec. Wykrwawiła się na śmierć przy porodzie w jakiejś okropnej przyczepie, tam w lesie. I ja się pytam, co robił Wilde, przyjmując poród w lesie, kiedy mamy tu porządny szpital?

- To o to chodziło! Nie miałam pojęcia...

- Rodzice nie chcieli pani nic mówić. Była pani wtedy dzieckiem.

- No tak, ale... - Z wrażenia zabrakło jej słów. Przecież nieszczęścia się zdarzają. Pacjenci umierają. Dlaczego pani Mayberry jest taka pewna, że to była wina Jamesa Wilde'a? - Jeśli było już za późno, żeby jechać do szpitala... Krwotoku po porodzie nie da się przewidzieć.

- To jeszcze nie wszystko. Podobno ojcem dziecka był Lucas Wilde. I był tam, kiedy to się stało. Pijany. I pod wpływem narkotyków.

- I dziecko też zmarło?

- Niestety tak. Urodziło się dużo za wcześnie.

Zza drzwi dobiegł jakiś dźwięk i twarz recepcjonistki się rozjaśniła.

- Słyszała pani, złotko? To pierwsza pacjentka, Barbara Wiggs. Na pewno ją pani polubi. Miała masę problemów z...

- Dziękuję pani - przerwała jej stanowczo Francesca. - Widziałam już kartę pani Wiggs. Proszę jednak powiedzieć Dixie, żeby pacjentka poczekała pięć minut.

- Oczywiście, złotko. Musi pani przecież wypić kawę.

Francesca wbrew sobie wypijała kawę, rozmyślając z przerażeniem o tym, co mówiła Betty Mayberry. Współudział ojca i syna w czymś tak obrzydliwym; skandaliczne naruszenie zasad etyki medycznej po to, żeby ukryć istnienie dziecka; alkohol i narkotyki.

Nie podobał jej się jednak sposób, w jaki pani Mayberry to opowiadała - rzeczowo, bez żadnej sympatii dla

nieszczęsnej matki i jej dziecka; i to jej pełne zadowolenia przekonanie, że praktyka Lucasa niedługo upadnie, a jeśli wcześniej jacyś pacjenci będą źle leczeni, to i tak nie ma to znaczenia, bo „takie typy” na nic lepszego nie zasługują...

Francesca zawsze uważała panią Mayberry za miłą, nieszkodliwą osobę i bez namysłu zgodziła się na propozycję ojca, żeby jego dotychczasowa recepcjonistka jeszcze pół roku pracowała u niej, zanim przejdzie na emeryturę.

Nie była pewna, dlaczego właściwie opowieść recepcjonistki tak nią wstrząsnęła i czy naprawdę w to wszystko uwierzyła. Nie miała jednak czasu na dłuższe rozważania, bo ktoś zapukał do drzwi i do pokoju zajrzała rudowłosa Dixie Andrews.

- Poprosiłam panią Wiggs do różowego pokoju przyjęć, pani doktor.

- Dziękuję, Dixie.

Postanowiła, że pierwszego ranka w jej przychodni wszystko będzie się odbywało punktualnie, ale po dwóch godzinach pracy okazało się to niemożliwe. Niektórzy pacjenci wyraźnie czekali z wizytą u lekarza na jej przyjazd. Część zgłosiła się w ostatniej chwili, prosząc, by ich mimo wszystko przyjąć, część chciała porozmawiać o „starym” doktorze Bradym, jego chorobie i emeryturze, i o niej samej, ich nowej lekarce.

Zdiagnozowała zapalenie ucha u trojga dzieci i dwa przypadki grypy u dorosłych, usunęła kawałek liścia z ucha nastolatka oraz poinformowała młodą kobietę, skarżącą się na uporczywe zmęczenie, że jest w ciąży;

w sumie przebadła przed południem kilkunastu pacjentów.

W przerwie pani Mayberry przyniosła kawę.

- Bardzo pani dziękuję - rzekła Francesca - ale proszę mi nie przynosić kawy ani rano, ani w czasie południowej przerwy. Jedna filiżanka o czwartej, to wszystko. Teraz zjem kanapkę w kuchni i za kwadrans znów zacznę, żeby nie tracić czasu.

- Doktor Brady nie jadł nic, kiedy miał natłok pacjentów. Mówił, że kawa trzyma go przy życiu, a jeśli miał wolną chwilę po południu, przynosiłam mu banana albo kawałek ciasta. Pani matka zawsze coś dla niego zostawiała, kiedy wychodziła na zebrania.

Mama piecze wspaniałe ciasta, prawda? Mnie nikt tak nie będzie rozpieszczał jak ojca.

Pani Mayberry postawiła kawę na biurku.

- Obawiam się, że Sharon Baron przyszła za wcześnie. Czeka już od dziesięciu minut. I zapisałam kolejnego pacjenta na trzecią.

- Wobec tego rezygnuję z kanapki i przyjmę teraz panią Baron.

- Pannę Baron - poprawiła z naciskiem recepcjonistka.

- Niech będzie.

- Dixie poprosi ją do różowego pokoju.

Pięć minut później Francesca weszła do gabinetu.

- Muszę pani pogratulować - powiedziała po wstępnym powitaniu do grubej kobiety, która siedziała w niewygodnej pozycji na lekarskiej kozetce.

- Czego? - spytała kobieta, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Pani siostrzeńca.

Nawet bez informacji Prestona poznałaby, że Sharon i Caron to siostry.

- Aha, urodziła. A co mnie to obchodzi!

- Jak to?

- Caron i ja nie rozmawiamy z sobą. Ona nie jest teraz pani pacjentką, co?

- Nie, lecz się u doktora Wilde'a, ale w Sobotę sytuacja z dzieckiem była dość nagła i musiałam pomóc przy porodzie.

Sharon Baron chrząknęła i nic nie powiedziała.

- Co pani dolega? - spytała Francesca.

- Oczywiście znów moja cukrzyca.

No tak, nic dziwnego. Francesca spojrzała na kartę. Początki w wieku dorosłym. Chroniczne skoki poziomu cukru. Spadek wagi na pewno by pomógł. Tabletki nie były dość skuteczne, ale pacjentka wielokrotnie odmawiała dożylnego przyjmowania insuliny.

- Doktor Stock kazał mi się bawić z tymi siuškami. Nie wiem po co. Nic mi to nie pomaga. Podobno muszę schudnąć. Nie mogę schudnąć. To u mnie dziczone;

- Jakie?

- Mówię, dziczone. Mama była gruba, tata też.

Francesca powstrzymała westchnienie, a potem przypomniała sobie, że Lucas przez półtora roku praktykował na endokrynologii, mogłaby więc podesłać mu pacjentkę.

Z drugiej strony Sharon nie potrzebowała wizyty u specjalisty. Zdiagnozowano ją właściwie, tyle że nie przestrzegła zaleceń lekarza i lekceważyła sobie związane z tym niebezpieczeństwo.

Być może Lucas potrafiłby ją przekonać, by się zasto-

sowała do wskazań medycznych. Sharon dostawała jakąś rentę, która obejmowała świadczenia lekarskie, więc Lucas w dodatku otrzyma honorarium i będzie mógł zapłacić rzemieślnikom remontującym dom, zamiast polegać na dobrowolnej pracy zadłużonych pacjentów.

- Czy była pani może u doktora Wilde'a? - spytała, ucinając tyradę Sharon na wszelkie możliwe tematy, od odcisków po krytykę rządu.

- U Lucasa Wilde'a? - zawołała Sharon z niedowierzaniem. - Prędeż umrę, niż do niego pójdę. To narkoman! Jego ojciec zabił moją siostrę!

- Pani siostrę? Caron?

- Nie, nie Caron. Moją drugą siostrę, Pastille.

- Pas...

- Pastille - powtórzyła Sharon. - Niezwykłe imię, co? I takie ładne. Była najmłodsza i mama nie mogła już nic wymyślić do rymu. To imię przypomina cukierek. I Pastille była słodka, dopóki ten szcur nie wpędził jej w kłopoty. Miała dopiero osiemnaście lat, a doktor Wilde zabił ją przy porodzie.

- Nie ma absolutnie żadnych dowodów...

- Caron jest głupia, że do niego chodzi.

- Caron leczy się u Lucasa Wilde'a, nie u jego ojca.

- Obaj są tacy sami - mruknęła Sharon, wzruszając ramionami. - Powinni im zabronić leczyć ludzi, nie?

- Myślałam, że stary doktor Wilde już nie leczy...

, - Powiedziałam na policji, że zabił moją siostrę, ale nic mu nie zrobili.

- No widzi pani, to znaczy, że jest niewinny. Przykro mi bardzo, ale nie mogę w ten sposób rozmawiać z panią

0 innym lekarzu. Doktor Wilde - doktor Lucas Wilde - jest w szpitalu Wayans Falls uważany za bardzo dobrego lekarza. Co więcej, nie słyszałam o żadnym poważnym przypadku zaniedbania z jego strony czy ze strony jego ojca. I nie zamierzam go krytykować ani w jakikolwiek sposób wypowiadać się przeciwko niemu. Ponadto będę do niego wysyłać pacjentów, którzy na pewno skorzystają z jego wiedzy i umiejętności.

- Ja do niego nie pójdę - burknęła Sharon. - À jeśli pani nie ma lepszych tabletek na cukier w moczu, czy co tam, to idę. Mam w końcu co robić.

Francesca wróciła do swego gabinetu i wzięła kartę kolejnego chorego, zamierzając przejść do niebieskiego pokoju przyjęć po drugiej stronie korytarza. System dwóch pomieszczeń, w których pacjenci przygotowywali się do wizyty, doskonale zdawał egzamin. Trzeci pokój przeznaczony był na drobne zabiegi chirurgiczne, ale na dziś Francesca miała zaplanowany jeden tylko zabieg - biopsję piersi, umówioną wcześniej przez Prestona Stocka.

W tym momencie weszła bez pukania recepcjonistka.

- Tak mi przykro z powodu tej okropnej baby - rzekła konspiracyjnym szeptem. - Usiłowałam ją zniechęcić i powiedziałam, że dziś nie może być przyjęta, ale jej nie sposób się pozbyć. Powinna pójść do Wilde'a, ale nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Do Wilde'a? Z powodu cukrzycy?

- Nie, z powodu zasiłku dla bezrobotnych. On przyjmuje wszystkich takich ludzi z opieki społecznej. I dlatego w ogóle ma jakichś pacjentów.

No tak, pomyślała Francesca, on przyjmuje biednych

z opieki społecznej, a ja bogatych — z porządnym ubezpieczeniem zdrowotnym. Głośno zaś powiedziała:

- W ten sposób chyba wiele nie zarobi....

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, ale usiłowała powstrzymać złość i niezadowolenie.

- Im się i tak lepiej powodzi niż zwykłym, ciężko pracującym ludziom - stwierdziła wyniośle Betty Mayberry.

- Pan Jaeger na mnie czeka.

- Oczywiście.

Recepcjonistka wyszła, pozostawiając na biurku filiżankę. O czwartej Francesca nadaremnie czekała na gorącą kawę, choć wpół do piątej, kiedy wykonywała biopsję, na jej biurku pojawił się kawałek taniego ciasta i szklanka wody.

Z niechęcią skonstatowała, że Betty Mayberry będzie raczej trudnym orzechem do zgryzienia. Natomiast Dixie Andrews była po prostu urocza!

- Dwudziestu siedmiu załatwionych i jeszcze troje umówionych - zaśpiewała Dixie, wchodząc do gabinetu Franceski.

- Liczysz?

- Tylko w złe dni.

- Dzisiaj jest zły dzień?

Dwudziestopięcioletnia Dixie już rok pracowała w przychodni,

- Pierwszy dzień jest zawsze fatalny.

- To dobrze! - rzekła Francesca.

- Dlaczego?

~ Bo następne mogą być tylko lepsze.

- Powinna pani prowadzić praktykę do spółki z innym lekarzem - zasugerowała pielęgniarka.

- Może... Muszę rozważyć wszystkie możliwości, ale na pewno nie będę niczego zmieniać zbyt szybko.

- Słusznie, lepiej poczekać, aż Betty abdykuje - zgodziła się Dixie. - Tu jest karta pana Saltmana - dodała, podając dokumenty Francesce. - Jest bardzo zdenerwowany. Zazwyczaj przychodzi jego żona. W tej chwili jest w ciąży i musi leżeć, bo grozi jej przedwczesny poród. Nie wiem jednak, dlaczego przyszedł pan Saltman.

- Dziękuję, Dixie.

- Zmierzyłam mu ciśnienie, temperaturę i tętno. Zano-towałam w karcie. Tętno ma dość szybkie, i bardzo ciepłe i spocone dłonie. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Zaraz się przekonamy.

Erie Saltman był wysokim, czterdziestoletnim mężczyzną o lekko posiwiałych włosach i inteligentnej, wciąż przystojnej twarzy. Był właścicielem małej firmy.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się dziwnie czuję - odparł na pytanie Franceski. - Z początku myślałem, że to z powodu Giny. Mojej żony.

- Wiem. Ma termin za dwa miesiące, prawda? Jestem pewna, że pan odetchnie, kiedy skończy się ten przymu-sowy odpoczynek.

- Jasne, to męczy nas oboje. Ale to nie jest jedyny problem. Mam palpacje. Wystarczy, że przejdę się do skrzynki na listy, a po powrocie nie mogę złapać tchu i bolą mnie nogi.

Pacjent opisał jeszcze kilka objawów, które potwierdzi-ły podejrzenia Franceski. Badanie nie pozostawiało wąt-

pliwości: powiększony gruczoł tarczycy, szybkie tętno i drżenie całego ciała oznaczały nadczynność tarczycy, choć należało wykonać specjalistyczne badania. Francesca wszystko to powiedziała pacjentowi.

- Wiedziałem, że to coś niepokojącego - odrzekł. - Ale nie grozi szybką śmiercią, prawda?

- Nie, ani nie powinno w żaden sposób pana na przyszłość ograniczać. Musimy jednak zrobić dodatkowe badania.

- Czy można je zrobić tutaj?

- Pierwsze tak, a następnymi musi się zająć specjalista ze szpitala.

- Trudno mi będzie wybrać się do szpitala. Podróż do Wayans Falls trwa ponad godzinę w obie strony. Gdyby coś się stało Ginie...

Francesca pomyślała, że powinna wysłać pana Saltmana do Lucasa. Mimo uporczywych plotek niczego mu do tej pory nie udowodniono, a fakt, iż właśnie tutaj wrócił do pracy, tylko dobrze świadczył o jego odwadze i honorze. Przecież mógłby bez trudu znaleźć sobie pracę w jakiegokolwiek części kraju, gdzie nikt go nie znał.

- Najlepiej będzie skonsultować się ze specjalistą - powtórzyła. - i chyba znalazłam dla pana wyjście. Lucas Wilde ma znacznie więcej doświadczeń z podobnymi przypadkami. Być może sam przeprowadzi badania...

- To fantastycznie!

Erie Saltman spojrział na nią rozjaśnionym wzrokiem. Albo nie wierzył w plotki o Lucasie, ale ich w ogóle nie znał.

- Od jak dawna pan tu mieszka? - spytała jeszcze od niechcienia.

- Od mniej więcej roku. Wcześniej mieszkaliśmy na Manhattanie, ale nie znosimy miasta i doszliśmy do wniosku, że równie dobrze możemy zamieszkać tutaj. Moja żona pisze książki dla dzieci. Dlaczego pani pyta? Czy dla mnie byłoby lepiej, gdybyśmy zostali w mieście? Bo tam jest lepsza opieka lekarska?

- Nie, nie, w żadnym wypadku - zapewniła go pośpiesznie. - Lucas Wilde jest świetnym lekarzem. Tak tylko zapytałam. Lubię coś wiedzieć o swoich pacjentach.

- W porządku. Wobec tego proszę... dać mi skierowanie do doktora Wilde'a.

- Wie pan co? Sama z nim porozmawiam i poproszę, żeby do pana zadzwonił.

Pytanie tylko, czy Lucas zechce jej wysłuchać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zapomniała pani o mojej popołudniowej kawie - powiedziała z lekkim wyrzutem do pani Mayberry, kiedy około piątej wyszedł ostatni pacjent.

- Przepraszam, złotko. Myślałam, że wypije pani tę, którą przyniosłam w południe. Stała u pani na biurku.

- Nie przepadam za zimną kawą. Jutro proszę mi podać filiżankę kawy o czwartej.

- Nie będzie pani mogła potem zasnąć!

- Dam sobie radę.

Betty Mayberry nie odpowiedziała.

Francesce bolała głowa, kark i ramiona. I czuła dziwne ssanie w żołądku. Głód. Nic nie jadła w południe, a ciasto było tak niesmaczne, że zdołała przełknąć zaledwie dwa kęsy. Przypomniała sobie, że pani Mayberry wychodziła zawsze bocznymi drzwiami - a tu się nic nie zmieniło od ćwierć wieku. Wreszcie ma swobodny dostęp do kuchni i może zrobić sobie kanapkę. Z kolacją nie będzie problemów; kupiła dość gotowych dań, które wymagały tylko podgrzania w kuchence mikrofalowej.

Kilka minut później wyszła do ogrodu z kanapką i szklanką soku w dłoni, i usiadła na starej huśtawce pod drzewami. Nagle usłyszała odgłos młotka.

Lucas znów zajmuje się gankiem. Cały dzień panowała

cisza, a zatem pewnie pracował w gabinecie. A może po prostu była tak zajęta, że nie zwracała uwagi na hałasy, i Lucas wcale nie miał pacjentów, co, zważywszy na okoliczności, nie byłoby takie dziwne.

Zeskoczyła z huśtawki i powoli ruszyła w stronę domu Wilde'ów. W końcu nie dalej jak pół godziny temu obiecała Ericowi Saltmanowi, że porozmawia z Lucasem o jego problemach związanych z tarczycą. Naprawdę chciała mu pomóc.

Powinna była zapewne zmienić eleganckie pantofle, popielate spodnie i wiśniowo-szara, jedwabną bluzkę na coś wygodniejszego, ale nie miała teraz ochoty wracać do domu.

Nowy ganek wyglądał rewelacyjnie. Lucas, odwrócony tyłem, nie widział jej, i przyglądała mu się przez dobrą minutę, zastanawiając się nad swoimi uczuciami. Gzy była to złość? Na pewno. Litość? Lucas Wilde nie jest człowiekiem, nad którym można by się długo litować.

Naprawą ganku dobiegała końca. Miejsce starych, przegniłych desek zajęła podłoga z jasnej sosny. Lucas przybijał właśnie trzy ostatnie deski. Nie chciała mu przeszkadzać, miał jeszcze do wbicia ostatnie gwoździe. Za nic nie pozbawiłaby go satysfakcji z dokończenia pracy.

Z mieszanymi uczuciami przyglądała się jego smagłej skórze, na której widniały kropelki potu. Poczuła, iż brak jej tchu i zrozumiała, że mimo jego nieprzyjaznego nastawienia pragnie go w taki sam sposób, jak piętnaście lat temu.

Z drugiej strony, czy to możliwe? Czy można kogoś

pragnąć przez piętnaście lat? W dodatku teraz Lucas stał się częścią jej życia, bliskim sąsiadem i kolegą lekarzem. Musi sobie jakoś z tym poradzić. We wszystkich dotychczasowych związkach panowała nad uczuciami, ale tym razem...

Bach! Lucas wbił ostatni gwóźdź i Francesca odetchnęła głęboko.

Odwrócił się, by odłożyć młotek, i powitał ją zdawkowo. Świadczyło to o tym, że wiedział o jej obecności.

- Cześć - mruknęła, czując, że znowu ma piętnaście lat. - Skończyłeś. Ładnie to wygląda.

- Ja też tak sądzę. Chyba nie będę malował. Położę tylko kilka warstw bezbarwnego lakieru, żeby utrzymać czystość.

- Masz rację. Czy...

Spojrzała w górę i zawahała się. Tyle tu jeszcze jest do zrobienia.

- Naprawię daszek, przybiję deski, wymienię dachówki i pomaluję dom - odparł, odgadując jej pytanie. - Zrobię to, kiedy będę miał więcej czasu.

I pieniędzy...

- Na jaki kolor pomalujesz?

- Jakiś tradycyjny, na przykład biały z ciemnozielonym wykończeniem. Pewien malarz pokojowy przygotował projekt i wstępny kosztorys, ale nie podobał mi się jego pomysł. Proponował szałwię, wrzos i seledyn. Prawdziwe kolory tak się nie nazywają.

Francesca roześmiała się, choć „seledyn”, o którym Lucas tak źle się wyrażał, przypominał trochę kolor daszku nad drzwiami jej domu, Prawdę mówiąc, miała pewne

zastrzeżenia co do doboru barw odnowionego domu rodziców,

- Ja też lubię tradycyjne kolory - powiedziała jakby do siebie.

- Więc to nie ty dobierałaś kolory w waszym domu?

- Nie, wszystko załatwił ojciec, jeszcze przed zawale-
łem.

- Przykro mi z powodu twojego ojca - rzekł Lucas po chwili milczenia.

- Ledwie z tego wyszedł, i nigdy już nie będzie cał-
kiem zdrow.

- Był ambitny, i zapewne trudno mu przyszło zrezyg-
nować z pracy.

- Owszem. Gdybym nie przejęła praktyki...

- Zawsze tego chciał.

- Raczej nie. To był niespodziewany pomysł.

- Ach tak...

- A... twoi rodzice? Wyjechali gdzieś?

- Niezupełnie. Ojciec umarł dwa lata temu.

- Przykro mi.

Na twarzy Lucasa malował się ból i smutek, a także gniew.

- Dość długo chorował. Rak. Pracował dopóki mógł, ale w końcu zostało mu tylko paru pacjentów. Mama bardzo to przeżyła. Musiała stąd wyjechać. Teraz mieszka w Bostonie z moim bratem Adamem i z jego rodziną. Uwielbia wnuki.

- A jak idzie Adamowi?

- Świetnie. Robi karierę w firmie teścia.

Czegoś w tym wszystkim brakowało, jednakże France-

sca nie chciała ryzykować dodatkowych pytań, tak jak nie chciała jeszcze zaczynać rozmowy o Ericu Saltmanie i jego chorobie. Lucas dobitnie wyraził niechęć do jakiegokolwiek współpracy na płaszczyźnie zawodowej. Postanowiła, że w tej sprawie napisze do Lucasa list z prośbą o konsultację.

- Ja...

Nie dając jej skończyć, przeciągnął się i westchnął głęboko.

- Mam zamiar napić się piwa. Chcesz?

- Chętnie.

- Tutaj?

- Tak. Przez cały dzień nie wychodziłam na świeże powietrze. Miałam... - Bardzo dużo pacjentów. Omal nie powiedziała tego na głos. - Dużo spraw.

Uśmiechnęła się, by ukryć zakłopotanie, lecz Lucas nie zwrócił na to uwagi. Wskoczył na ganek i zniknął w domu, wracając po chwili z dwiema puszkami piwa. Jedną podał Francesce, zapraszając, by usiadła.

Drewno pachniało żywicą i czystością; Francesca postanowiła nie przejmować się tym, że siedzi w nowych, dość drogich spodniach na świeżych deskach.

Sama nie wiedziała, skąd brało się jej zadowolenie. Czyżby z faktu, że siedzą razem i się nie kłóca? Zmarszczyła brwi, otworzyła puszkę i pociągnęła łyk piwa, które okazało się całkiem chłodne i - wbrew temu, czego się spodziewała - lekkie.

- Nic ci wczoraj nie mówiłem - zaczął Lucas, kiedy podniosła na niego wzrok ^ ale ja też wtedy za tobą wariowałem. .

- Co?

- Nie słyszysz? Wariowałem za tobą, piętnaście lat temu. Ty się przyznałaś, to i ja mogę.

- Nie wierzę ci!

- Naprawdę.

- Ale przecież... Nigdy się ze mną nie umawiałeś. Prawie mnie nie zauważałeś.

- Stale przede mną uciekałaś. A taki chłopaczek jak ja myślał, że ci się nie podobam. Albo że się mnie boisz.

- To prawda, bałam się ciebie.

- Trudno, żebym się z tego cieszył, Chess.

- Już wczoraj ci to mówiłam. Miałam za ledwie piętnaście lat i wstydziłam się. Moje reakcje nie były logiczne.

- Ja też byłem młody i też się wstydziłem.

- Miałeś wtedy osiemnaście lat i uważałam cię za mężczyznę.

Jego lekko uśmiechnięte wargi przyciągały jej wzrok i nieustannie przypominały tamten pocałunek. Nic się nie zmieniły, nadal były takie męskie i wyraziste...

- Bardzo się starałem. O ile dobrze pamiętam, strasznie się przed tobą popisywałem.

- Chyba nie.

- Ależ tak. Nie pamiętasz, jak któregoś wieczoru zrobiłem ci cały wykład o bitnikach i Jacku Kerouacu?

- Oczywiście! Jack Kerouac! „W drodze”. Z nabożeństwem słuchałam każdego twojego słowa.

- Gadałem z pół godziny.

- Byłam absolutnie zafascynowana. Chciałam kupić sobie tę książkę, gdy tylko namówiłam mamę, żeby mnie zabrała na zakupy, ale księgarnia, do której ze mną poszła,

nie sprzedawała takiej literatury. Nie przeczytałam jej do dziś, ale wtedy miałam przygotowaną całą rozmowę z tobą na ten temat. Wyobrażałam sobie, że powiem coś oryginalnego o języku autora, a ty nagle zobaczysz, jaka jestem mądra i wrażliwa, i...

- Chess, czyżbyś nic nie wiedziała o kilkunastoletnich chłopakach? - spytał. - Mądrość i wrażliwość nic mnie nie obchodziły. Byłaś piękna. Słuchałaś mnie, patrzyłaś na mnie tymi swoimi wielkimi, szarymi oczami, a ja myślałem, że gadka o Kerouacu się sprawdza. Strasznie byłem napalony. Po prostu cię chciałem. No i masz. Przepraszam.

Zamrugął oczami i potrząsnął głową.

- Strasznie to głupio brzmi, ale nie ma w tym nic przeciwko tobie. Dla mnie byłaś dziewczyną na piedestale, a ja straszliwie cię pragnąłem, choć nie powinienem nawet o tym myśleć.

- Ja też cię pragnęłam, Lucas, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopóki mnie nie...

- Dopóki cię nie pocałowałem? Wykorzystałem dogodną chwilę. Musiałem to zrobić, bo bałem się, że w końcu coś się ze mną stanie.

- To było niespodziewane i cudowne.

- Nie wierzyłem, kiedy odwzajemniłaś ten pocałunek. Cały dygotałem.

- A ja się czułam jak w niebie.

- A potem się przestraszyłaś i... - Zmarszczył brwi i jego twarz znów się zachmurzyła.

- To ty się przestraszyłeś, bo mama mnie zawołała.

- Widać inaczej to zapamiętaliśmy - powiedział Lucas, wruszając ramionami.

- Minęło już tyle lat.

Ale to ja mam rację, pomyślała. Wcale się nie przestraszyłam. Sprzeciwiłabym się matce i ojcu, żeby być razem z nini, gdyby tylko okazał, że go cokolwiek obchodzi, że mu na mnie zależy, i gdyby nie wyjechał wtedy z miasta,

- To prawda - potwierdził z zadumą.

Zapadła cisza. Najwyraźniej za dużo sobie powiedzieli. Francesca postanowiła zmienić temat.

- Jak się czują Caron i jej syn?

- Świetnie.

Lucas przyjrzał się jednemu z gwoździ i doszedł do wniosku, że należy go poprawić. Dwoma szybkimi ruchami młotka wbił go głębiej.

- Jutro ją wypisują. Byłem u niej dziś rano.

- Jak go chce nazwać?

- Zdaje mi się, że pytasz o to z pewną obawą?

- Dziwi cię to?

- No nie. Będzie miał na imię Norad.

- O Boże!

- To imię jej brata, Darona, czytane od tyłu. Są bardzo sobie bliscy i Daron będzie uszczęśliwiony. Jest lekko upośledzony, ale to wspaniały człowiek, bardzo ciepły. Mieszka z Caron i jej facetem w lesie, w dość okropnej przyczepie. To dobrzy ludzie i jakoś dadzą sobie radę.

- Nikt tam nikogo nie bije?

- Nie.

- To dobrze - odparła mechanicznie, myśląc o czymś innym.

Przyczepa w lesie. To samo miejsce, gdzie - zdaniem Betty Mayberry i Sharon - zmarła inna z siostr Baron,

rodząc dziecko Lucasa. Teraz wydało się to Francesce nieprawdopodobne. Jaki był wtedy Lucas?

Z pewnością za szybko jeździł motocyklem. Nie skończył szkoły. Wyjechał z miasta i ślad po nim zaginał. Takie są fakty. Okropna historia z dzieckiem i matką narkomanką nie znalazła dotychczas potwierdzenia w faktach.

- Poznałam dziś Sharon Baron - oznajmiła.

- Ach tak?

- Ma cukrzycę, której nie leczy. Powinna się do ciebie zgłosić.

- Na pewno tego nie zrobi. Zwłaszcza że leczę Caron, Darona i teraz Norada.

Czekała, że Lucas powie coś jeszcze, ale on się nie odzywał.

- Chciałabym, żebyś przyjął innego pacjenta. Nazywa się Erie Saltman i prawdopodobnie cierpi na nadczynność tarczycy. Mówiłeś, że masz w tej dziedzinie praktykę i wydawało mi się...

- Nie ma mowy - przerwał jej Lucas.

- Dlaczego?

Zniknęła przyjemna, miła atmosfera i znów zapanowało między nimi napięcie. Lucas odstawił piwo, zeskoczył z ganku i zaczął nerwowo chodzić po trawniku.

- Dlaczego? - powtórzyła Francesca. - Przyjęłam dziś prawie trzydziestu pacjentów. To za dużo na jednego lekarza. Nie wiem, co ludzie mają przeciwko tobie. Słyszałam różne plotki, ale nie traktuję ich poważnie.

- Ciekawe dlaczego?

Bo w wieku piętnastu lat byłam w tobie zadurzona i, nie wiadomo z jakiego powodu, to uczucie przetrwało do dziś.

- Nie lubię osądzać ludzi pochopnie - powiedziała.
- To bardzo szlachetne z twojej strony.
- Być może szlachetne motywy są dla ciebie czymś nie-

ważnym, ale nie o to w tej chwili chodzi. Ja mam za dużo pacjentów, ty masz ich za mało. Jeśli zacznę cię traktować poważnie, może inni pójdą za moim przykładem.

- Dlaczego? Bo grzeczna panienska Chess Brady nie popierałaby złego człowieka? I nie narażałaby na szwank swej dobrej opinii powiązaniem z jakimś podejrzanym lekarzem?

- Tak. Właśnie dlatego! Co jest złego w tym, że chcę cię popierać, dopóki nie przekonasz ludzi do siebie?

- Zbytek łaski, pani doktor. Jestem człowiekiem upartym i nigdy nie uciekam przed wyzwaniem. Co więcej, zamierzam odnieść sukces. Dlatego tu wróciłem. Jeśli jednak nie uda mi się przywrócić dobrego imienia praktyce lekarskiej ojca bez pomocy doktor Franceski Brady, na pewno się stąd wyniosę. Myślę, że i ty powinnaś stąd teraz zmykać, zanim powiem coś, czego będę potem żałował.

- Lucas, proszę cię...

Zeskoczyła z ganku i podeszła do niego, starając się zapanować nad złością.

Spojrzał na nią chłodno. Odruchowo położyła mu rękę na ramieniu, błagając w myślach, by nie milczał. Była przekonana, że Lucas coś przed nią ukrywa, i to niedomówienie wisiało między nimi jak topór. Było cięższe od powietrza przesyconego zapachem kwitnącego w jego zaniedbanym ogrodzie bzu.

Teraz i Lucas chwycił ją za ramię. Oboje czuli, że ten kontakt jest niewystarczający. Francesca w milczeniu po-

łożyła drugą rękę na ramieniu Lucasa, chcąc go sprowokować do jakiejś reakcji.

- Nie, Ghess - powiedział wreszcie. - Nie w ten sposób.

Trzymał ją mocno za ramiona, stojąc tak blisko, że zakręciło jej się w głowie.

- Nie zrobię tego. Nie wezmę cię w ramiona, nie pocałuję i nie obiecuję, że jakoś się z tym uporamy. Nie jesteśmy już dziećmi.

- Wiem...

- Spójrz na nas. Oboje cierpimy, prawda?

- Tak.

- Ale nic z tego. Nie będę cię całował, Chess. Nie jesteśmy po tej samej stronie. Jesteś ostatnią osobą, od której oczekiwałbym pomocy. Już dość zapłaciłem za ten nieszczęsny magnetyzm naszych ciał. Nie przyjmę twojego pacjenta. Sama się nim zajmij i sama prowadź swoją praktykę. Ja dam sobie radę bez ciebie, a ten epizod...
- przyciągnął ją bliżej, gwałtownie i bez żadnej czułości
- ten epizod należy do przeszłości.

Puścił ją i cofnął się o krok. Francesca z trudem zachowała równowagę. Lucas przyglądał się jej, mrużąc oczy, jakby chciał podkreślić, że jest zdana wyłącznie na własne siły.

- Nie rozumiem cię, Lucas. Przed chwilą tak nam się dobrze rozmawiało. Nie jestem twoim wrogiem.

- Być może, ale ja sam nim jestem. A teraz idź już wreszcie, nim zrobimy coś, czego będziemy żałować.

Jak pójdzie do łóżka. O to mu chodzi... Ona nie wahałaby się ani chwili. W ciągu ostatnich dwunastu lat nie

spotkała nikogo, kto tak bardzo by ją podniecał. Zupełnie jakby jej zmysły, rozbudzone przez niego przed laty, do tej pory reagowały tylko na niego.

- Dobrze. A jeśli Erie Saltman będzie potrzebował bardziej skomplikowanych badań, wyślę go do szpitala w Wayans Falls.

- Przecież ja bym zrobił to samo.

- Wolałabym mu oszczędzić podróży do szpitala, bo nie chce zostawiać żony bez opieki. Żona jest w ciąży podwyższonego ryzyka. Myślałam, że mu pomożesz.

- Wątpię. Sama możesz mu zrobić badanie na poziom hormonu tarczycy. Przepuszczalnie będzie wysoki. Potem podasz mu dawkę radioaktywnego jodku, a następnego dnia będzie musiał i tak pojechać do Wayans Falls, najlepiej do Steve'a Kagana, który się nim zajmie i ustali leczenie. Chyba że odłoży terapię do czasu narodzin dziecka, czego bym nie zalecał, jeśli poród ma nastąpić nie wcześniej niż za dwa miesiące.

- Gina Saltman ma termin za dwa miesiące.

- No właśnie.

Francesca mruknęła kilka słów pożegnania i ruszyła do domu z poczuciem klęski.

Lucas odłożył narzędzia. Nie bardzo chciał przyjąć do wiadomości fakt, iż Francesca jest doskonałą, dobrze wykształconą lekarką, która chciałaby z nim współpracować. Wydawało się, że mu ufa, nie miał jednak pojęcia, ile o nim wie, w co wierzy i jak bliski ma kontakt z ojcem.

Frank Brady był kiedyś upartym mężczyzną o trudnym charakterze, ambitnym, pewnym siebie i przemądrzałym lekarzem, który nie cofnąłby się przed niczym, by chronić

interesy swych bliskich. Lucas przypomniał sobie wyjątkowo nieprzyjemną scenę sprzed piętnastu lat, która rozegrała się w gabinecie doktora Brady'ego. Zawsze był pewien, że to Chess była inicjatorką całego wydarzenia, w przeciwnym wypadku na pewno nie wyjechałby z Darrensbergu, bez względu na groźby Franka Brady'ego.

Dziś chyba o wszystkim zapomniała. Nie była już naivną, kilkunastoletnią dziewczyną, choć - być może - nie miała pojęcia o machinacjach ojca.

Cóż, nie ma to już większego znaczenia. Wrócił do Darrensbergu przygotowany do walki o swe dobre imię, choć mógł pracować wszędzie i nie mieć takich problemów. Czy zawdzięcza to wyłącznie swej dumie i uporowi? Czy chodzi mu o zszargany honor Wilde'ów, czy też Francesca Brady ma aż taki wpływ na jego życie?

Do diabła z tym wszystkim! Do diabła ze skandalami, dumą, uprzedzeniami i kobietami! Lucas był zmęczony, zły i bolał go pęcherz na palcu. Był też głodny, ale najpierw musiał zrobić coś innego. Marzył także o gorącym prysznicu, który zmyje z niego brud i pot, albo o zimnym, dzięki któremu poradzi sobie z pożądaniem, trudniejszym do usunięcia niż pot. Ale prysznic musi jeszcze pięć minut poczekać. Lucas jest już spóźniony o pół godziny na jedno ze swych pięciu codziennych spotkań z najbardziej znienawidzonym wrogiem i nieodzownym przyjacielem - ze strzykawką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie rozmawiała z Lucasem od kilku dni. Po części wynikało to ze świadomego zamiaru, po części zaś - z ogromnej ilości pracy.

- Czy doktor Stock też miał tylu pacjentów? - spytała w czwartek rano recepcjonistkę, kiedy ekran monitora wyświetlił długą listę nazwisk.

- Nie, moja droga, wszyscy czekali na panią - odparła Betty Mayberry, stawiając na biurku Franceski poranną kawę.

Francesca westchnęła w duchu. Recepcjonistka przynosiła jej filiżankę kawy rano i o dwunastej, ale nigdy o czwartej po południu, kiedy Francesca marzyła o gorącym, stawiającym na nogi napoju. Zwracanie uwagi nie odnosiło żadnego skutku, a Francesca nie chciała na razie stawiać sprawy na ostrzu noża.

Zrezygnowana sięgnęła po filiżankę i odruchowo upiła łyk kawy.

- Przecież nie można czekać z gripą czy z ciążą.

- Doktor Stock wysyłał większość kobiet do doktora Richardsa w Stedman Point - wyjaśniła pani Mayberry.
- Znali się jeszcze ze studiów, a doktor Stock nie chciał się zajmować ginekologią.

- Aha.

Francesce najbardziej interesowały ginekologia i położnictwo, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że nieodwołalnie straciła część pacjentek na rzecz nieznanego doktora Richardsa.

- Dlaczego ojciec wybrał właśnie doktora Stocka na zastępstwo? - spytała recepcjonistkę.

Może się wreszcie czegoś dowie? A jeśli nie zdąży przyjąć wszystkich pacjentów, to zrezygnuje z drugiego śniadania.

- Dlatego, że to wnuk Olivera Slade'a. Doktor Slade był mistrzem twojego ojca na Harvardzie. Gdyby przedwcześnie nie umarł, twój ojciec praktykowałby tam, gdzie naprawdę powinien: w jakiejś eleganckiej dzielnicy Nowego Jorku.

- Aha - mruknęła znów Francesca.

Niewiele z tego rozumiała, oprócz faktu, że doktor Stock zupełnie się nie nadawał na zastępcę ojca. Z drugiej strony, nawet jeśli straciła kilka pacjentek, pozostało ich dostatecznie dużo. Z komputera wynikało, że tego dnia zgłosiły się cztery kobiety, z tego trzy na roczne badanie cytologiczne. Może powinna nadal wysyłać je na rutynowe badania do doktora Richardsa i zyskać trochę wolnego czasu?

No nie! Przecież ginekologia i położnictwo najbardziej ją interesują. Francesca znów odruchowo wypła łyk kawy. Brrr! Kawa była zdecydowanie za mocna i miała za mało mleka.

- Proszę pani - zaczęła, tym razem wyraźnie zła. Musi wreszcie pokazać, kto tu rządzi. - Chciałabym, żeby pani przyjęła do wiadomości nowe zasady. Po pierwsze, nie

będziemy przyjmować pacjentów, którzy nie potrzebują natychmiastowej porady, kiedy lista przyjęć na dany dzień jest pełna. Musi pani zostawiać wolne godziny na nieprzewidziane wypadki albo odsyłać ich gdzie indziej.

- Gdzie indziej? - powtórzyła tępo Betty Mayberry.

- To znaczy do Wayans Falls czy do Stedman Point?

- Nie. Niech ich pani kieruje do Lucasa Wilde'a.

Francesca zignorowała osłupiały wyraz twarzy recepcjonistki.

- Po drugie, nie chcę pracować w czasie przerwy na lunch. Muszę trochę odpocząć i coś zjeść. Ponadto pod koniec tygodnia przejrzę cały plan przyjęć, proszę więc być przygotowaną na zmiany. Muszę mieć czas wieczorem, żeby przejrzeć wyniki badań czy skontaktować się telefonicznie ze specjalistami. I wreszcie, jak już pani mówiłam parę razy, chciałabym pić kawę o czwartej po południu, nie o dziewiątej rano i nie w południe. A teraz proszę powiedzieć Dixie, żeby zaprowadziła pana Pomeroya do różowego pokoju.

Recepcjonistka wyszła bez słowa i Francesca poczuła się jak zbrodniarka. Uraziła wspaniałą panią Mayberry. Ojciec byłby wściekły.

Pełna wyrzutów sumienia udała się do różowego pokoju, ale nie zastała tam nikogo, zajrzała więc do pokoju niebieskiego. Pacjent rozcierał dłońmi żylaki, które najwyraźniej bardzo mu dokuczały. Z rozmowy wynikało, że starał się prowadzić sensowny tryb życia, ale nie przynosiło to efektów. Francesca wyjaśniła mu, że operacja będzie prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem, z czego pacjent był bardzo zadowolony.

W wolnej chwili spytała Dixie, dlaczego poprosiła pana Pomeroya do niebieskiego pokoju.

- Pani Mayberry nic mi nie powiedziała, więc zrobiłam tak jak zwykle. Przepraszam.

- W porządku, Dixie, to nic ważnego. Po prostu mam zamiar zrezygnować z tego głupiego podziału na męski i damski pokój.

- Ojej!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To był pomysł pani Mayberry.

- Zupełny idiotyzm - rzekła ostro Francesca.

Ostatnio, mimo wypełnionych pracą dni, źle sypiała i ciągle była zmęczona.

- Czy pani Mayberry się obraziła? - spytała zrezygnowana.

- Pociąga nosem.

- To znaczy, że się obraziła?

- Nie ma się czym przejmować. Przy doktorze Stocku pociągała nosem przynajmniej raz dziennie.

- Miałam wrażenie, że go lubiła.

- Za żadne skarby nie przyznałaby się, że go nie lubi. Ze względu na pani ojca. Zawsze była wobec niego bardzo lojalna.

- Muszę z nią porozmawiać w czasie przerwy. - Przerwy? - Wyjaśnimy sobie pewne sprawy.

Kiedy wreszcie o pierwszej Francesca poprosiła recepcjonistkę do swego gabinetu, czwarty dzień z rzędu rezygnując z kanapki, okazało się, że sprawy zaszły już bardzo daleko.

- To nie ma sensu - łkała pani Mayberry. - Powinnam

TAJEMNICA DOKTORA WILDE'A

była przejść na emeryturę razem z doktorem Bradym. Za stara jestem na zmiany. Jakoś wytrzymałam z doktorem Stockiem, bo wiedziałam, że pani niedługo się zjawi i wszystko wróci do normy. Ale pani też ma nowe pomysły i obyczaje, i chce wprowadzać inne zasady. Nie można wysyłać pacjentów do narkomana. Pani ojciec miał na ten temat wyrobione zdanie. I nie można pić kawy o czwartej po południu.

- Skąd pani wie, że Lucas Wilde bierze narkotyki?

Francesca już wcześniej przekonała się, że Betty Mayberry lubi plotkować, na co ojciec widocznie nie zwracał uwagi, choć na dalszą metę nie mogło to być korzystne.

- Ma pani jakieś dowody?

- Dowody? Moja droga, widziałam na własne oczy
- odparła z godnością pani Mayberry, wycierając oczy chusteczką.

- Widziała pani? Widziała go pani pod wpływem narkotyków?

- Widziałam, jak wbijał sobie igłę w żyłę! To mi wystarczy. To było dwa miesiące temu, wkrótce po tym, jak na nowo rozpoczął praktykę. Oczywiście wcześniej słyszałam już różne historie. Przez pomyłkę dostarczono tutaj jego pocztę, więc poszłam do niego w czasie przerwy na lunch i zobaczyłam go w łazience dla pacjentów. Nie zauważył mnie. Położyłam listy na biurku i wyszłam. Miał podniesioną koszulę i wbijał sobie igłę w bok. Obrzydliwość. Przypuszczam, że musi sobie robić zastrzyki w różne miejsca, bo żyły by mu wysiadły. Tak mówią o narkomanach, prawda? Nie jestem znów taka naiwna, chociaż pani myśli, że się nie nadaję do tej pracy.

Pani Mayberry znów zaczęła płakać.

- Chcę się zwolnić. Odchodzę za dwa tygodnie. Lyn Parker szuka pracy. Podam pani jej numer telefonu. Powinnam była przejść na emeryturę, kiedy doktor Stock zastąpił pani ojca.

Francesca nawet nie próbowała jej przekonywać, ponieważ doszła do wniosku, że to najmądrzejsze słowa, jakie pani Mayberry wypowiedziała w ciągu całego tygodnia.

- Doceniam pani starania - oznajmiła i zakończyła rozmowę kilkoma okrągłymi, taktownymi zdaniami.

Postanowiła też napisać o wszystkim do ojca i poprosić go o finansowy udział w pożegnalnym prezencie dla pani Mayberry.

Późnym popołudniem, po skończonej pracy, marzyła wyłącznie o świeżym powietrzu i czymś do jedzenia. Przygotowała sobie dużą kanapkę, wzięła karton z sokiem, upewniła się, że ma przy sobie pager i telefon komórkowy, po czym wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie.

Krajobrazy górskie były dokładnie takie, jakimi je zapamiętała z dzieciństwa. W gęsto zalesionych górach, gdzie było mnóstwo jezior i potoków, mieszkwały jelenie, brunatne niedźwiedzie, bobry, szopy, a nawet rzadko spotykane rysie. Jako dziecko Francesca zbierała tu dzikie jagody, spływała czołnem rzeką Buckhorn, pływała w zimnej wodzie jeziora Weaver i zjadała się przysmakami z grila znajdującego się w parku wypoczynkowym w Darren County.

Wysiadła z samochodu i zjadła przygotowany posiłek,

siedząc wygodnie na kamiennym murku i chłonąc wspa-
niałe widoki. Po chwili ciszę zakłóciły dwa duże samo-
chody i motocykl. No tak, tu zawsze o zmroku przyjeź-
dzali młodzi ludzie. W lecie po dziewiątej wieczorem re-
gularnie patrolował to miejsce radiowóz policyjny i nawet
raz czy dwa aresztowano kogoś za picie i zażywanie nar-
kotyków.

Spoglądając na odzianego w czarną skórę motocykli-
stę, Francesca przypomniała sobie Lucasa. Ciekawe, czy
i jego przyłapano tu kiedyś na czymś niedozwolonym. Po
chwili zaczęła się zbierać do odjazdu. Nie chciała być
świadkiem hałaśliwego zachowania nowo przybyłych,
tymczasem obie pary, które wysiadły z samochodów, spo-
kojnie zasiadły do posiłku przy drewnianych stołach,
a motocyklista uśmiechnął się do niej i powiedział
przyjaźnie:

- Fantastyczne miejsce, prawda? Człowiek czuje, że
żyje.

No tak, nie należy się kierować pozorami i nie czynić
fałszywych założeń. Lucas prawdopodobnie robił sobie
zastrzyk przeciwtężcowy albo jakiś inny, a pani Mayberry
wyciągnęła fałszywe wnioski.

Erie Saltman nie wyglądał najlepiej.

- Za chwilę porozmawiamy o wynikach badań - po-
wiedziała Francesca. - Kiepsko się pan dzisiaj czuje, pra-
wda? Czy dlatego pan przyszedł?

- Myślę, że to grypa. Trzyma mnie już od dwóch dni,
ale dziś gorączka przekroczyła trzydzieści osiem stopni
i czuję się okropnie.

- Proszę zdjąć koszulę.

Francesca włożyła do uszu słuchawki. Brakowało jej czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanowić. Tydzień wcześniej wezwała Erica Saltmana na badanie krwi, wymyślając jakąś historyjkę, dlaczego Lucas nie mógł go przyjąć. Dzisiaj przysłyły wyniki i Francesca ze zdumieniem przekonała się, że poziom surowicy T4 nie jest podwyższony.

Erie Saltman miał wszystkie klasyczne symptomy nadczynności tarczycy, tymczasem wyniki badania krwi zupełnie tego nie potwierdzały. Francesca przyłożyła stetoskop do piersi pacjenta, słuchając uważnie jego oddechu. Miał lekkąrypę, która spowodowała zagęszczenie w górnej części płuc, lecz Francesca nie stwierdziła zapalenia płuc. Spojrzała na kartę pacjenta. W ciągu tygodnia schudł dwa kilogramy. Typowe przy nadczynności tarczycy, a jednocześnie wyniki...

- Nie! Nie!

- Słucham?

Francesca odwróciła się. Erie Saltman patrzył gdzieś poza nią wytrzeszczonymi oczami; twarz miał wykrzywioną strachem.

- Co się stało? - spytała.

- Drzwi... Idą na mnie. Niech je pani zatrzyma. Przycisną mnie do ściany!

Dixie! Proszę natychmiast przyjść do niebieskiego pokoju! - zawołała Francesca.

W drzwiach stanęła zdumiona pielęgniarka.

Pan Saltman ma halucynacje - szepnęła Francesca.
- Postaraj się go uspokoić, ja zaraz wracam. Tylko...

Właśnie, tylko co? Francesca nie miała wyboru.

- Zadzwońię po doktora Wilde'a.
- Dobrze, ale co mam zrobić, jeśli...
- Postaraj się, Dixie.

Wpadła do gabinetu i chwyciła słuchawkę telefoniczną, modląc się w duchu, by Lucas był w domu.

- Halo?
- Lucas?
- To ty, Chess?

- Tak. Dzięki Bogu, że cię zastałam. Mam u siebie Erica Saltmana. Teraz jest z nim pielęgniarka. On ma halucynacje. Badanie krwi nie wykazało podwyższonego T4. Coś mu jest, ma wysoką gorączkę i wszystkie symptomy typowe dla nadczynności tarczycy. Nie wiem, o co tu chodzi. Nie rozumiem tego wszystkiego, miałam taki męczący tydzień, chociaż...

- Zaraz tam będę - przerwał jej i odłożył słuchawkę.

Miała ochotę pozostać w gabinecie do przyjścia Luca-sa, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

Pospiesznie wróciła do niebieskiego pokoju. Erie Saltman oddychał płytko i urywanie, jego przekrwione oczy nienaturalnie błyszcząły, skórę miał suchą i gorącą, i nadal wpatrywał się przerażonym wzrokiem w drzwi, okna i szafę.

- Proszę pana...

- Nie, nie!

- Niech pan się uspokoi. Zaraz przyjdzie doktor Wilde i wszystko będzie dobrze.

W chwilę później usłyszeli szybkie kroki i w drzwiach stanął Lucas.

- Jeśli masz wątpliwości - zwrócił się do Franceski - przede wszystkim zaufaj instynktowi, a potem zrób dodatkowe badania. Już dobrze, proszę pana - rzekł do pacjenta. - Poradzimy sobie z pana chorobą. Badałaś poziom T4 w zeszłym tygodniu, prawda? - spytał Francescę.

- Tak. Wynik był...

- Normalny. Damy mu kroplówkę.

Lucas spojrzął na Dixie, która natychmiast wyszła, żeby przygotować niezbędny sprzęt.

- Sprawdziałaś T3?

Francesca potrząsnęła głową.

- Uważałam to za niepotrzebny wydatek.

- Czasami poziom T4 jest normalny... Dziękuję, Dixie. Teraz leki...

Lucas sprawnie przygotował kroplówkę, a gdy wszystko zostało podłączone, skończył to, o czym zaczął mówić wcześniej:

- Podwyższony poziom T3 potwierdza kliniczne objawy nadczynności tarczycy. Tutaj w dodatku mamy jeszcze grypę. Wkrótce poczuje się pan lepiej - zwrócił się do Saltmana - ale musi pan zostać przez dwa dni w szpitalu. Zaraz wezwiemy karetkę.

Lucas znów spojrzął na Dixie, która kiwnęła głową i wyszła.

- Nie - jęknął Erie Saltman. - Moja żona! Jeśli drzwi ją zaatakują...

- Nikogo więcej nie ma w domu?

- Nie. Gina... jest podłączona do monitora na wypadek przedwczesnego porodu, ale...

- Wobec tego po nią także pošlemy karetkę, prawda, pani doktor?

- Tak będzie najlepiej.

- W porządku. Mogę już wrócić do siebie? Kto wie, może trafi mi się jakiś pacjent, a moja nowa recepcjonistka zaczyna pracę dopiero w przyszłym tygodniu.

- Lucas... - zaczęła Francesca, idąc za nim do wyjścia.

- Słucham? - Odwrócił się i spojrzał na nią niechętnym wzrokiem.

- Ja... - Co powiedzieć komuś, kto się wyraźnie spieszy?

- Nie przejmuj się.

Francesca w milczeniu potrząsnęła głową.

- Posłuchaj - rzekł łagodniejszym tonem. - Zawsze jest tak, że wie się wszystko w teorii, a w praktyce nagle wszystkie wiadomości gdzieś uciekają. Niebawem teoria z praktyką znów ci się zgodzi.

- Przecież sam dopiero zacząłeś tu praktykować.

- Przez półtora roku pracowałem w kilkuosobowej przychodni w Saratodze. Dwa miesiące temu rzuciłem tamtą pracę i postanowiłem wrócić tutaj. Idiotyzm, co? - skomentował cynicznie.

- Ale są zmiany na korzyść. Lyn Parker zaczyna u ciebie pracować.

- Owszem. Dzisiaj miałem aż czterech pacjentów i dwóch z nich musi przyjść jeszcze raz. To, że zatrudniłem panią Parker, wynika z mojej wrodzonej przekory, Chess. Miejmy nadzieję, że starczy mi pieniędzy, żeby jej zapłacić.

- Powoli wszystko zmieni się na lepsze, Lucas.

- Twoja wiara trzyma mnie przy życiu, księżniczko
- mruknął ironicznie.

- Pan Saltman czuje się znacznie lepiej - poinformowała Dixie, kiedy Francesca wróciła do niebieskiego pokoju. - Ale wciąż ma wysoką gorączkę.

- Wkrótce powinna spaść. Mamy chłodzący kompres?

- Tak, miałam właśnie zapytać, czy...

- Oczywiście. Wiesz, gdzie jest?

- Jasne. Ale to było fajnie zobaczyć doktora Wilde'a z bliska. Nie wiedziałam, że jest taki przystojny.

Karetka przyjechała pół godziny później i miała w drodze do szpitala zabrać z domu Ginę Saltman. Francesca skontaktowała się telefonicznie z endokrynologiem Steve'em Kaganem, którego polecił jej Lucas, nie mówiąc mu jednak o swych początkowych wątpliwościach związanych z diagnozą.

Jednocześnie zdała sobie sprawę, iż nie podziękowała Lucasowi, który bez wahania przyszedł jej z pomocą. Ponieważ skończyła już przyjmować chorych i pani Mayberry oraz Dixie dawno wyszły, postanowiła od razu załatwić tę sprawę.

- Nigdy więcej nie mów do mnie „księżniczko”! - zawołała dziesięć minut później, przechodząc przez poczekalnię i wchodząc bez pukania do gabinetu Lucasa.

Podniósł głowę znad biurka zaślanego medycznymi książkami i wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

- Najwyraźniej chciałaś mi podziękować za to, że ci dziś pomogłem.

- Tak, ale najpierw muszę załatwić tę drobnostkę. Zapamiętaj sobie dobrze, nie jestem żadną księżniczką. Może kiedyś tak było...

- Może?

- No dobrze. Teraz jednak jest inaczej. W zeszłym tygodniu zwolniłam panią Mayberry. Nie zachowałam się jak księżniczka, tylko jak stara jędra.

- Zwolniłaś panią Mayberry? No, no. Faktycznie, nie jesteś księżniczką.

Lucas miał na sobie spodnie od garnituru, białą koszulę i prążkowany krawat. Najwyraźniej nie remontował dziś domu. Wcześniej nawet nie zwróciła na to uwagi, zajęta ratowaniem pacjenta.

Zerknęła na rozłożone książki.

- Czytam o wadach i zaletach obrzezania - wyjaśnił.
- Mam ciężarną pacjentkę, która spodziewa się bliźniąt i chce znać moje zdanie na ten temat. Razem z jej mężem naprawialiśmy kiedyś motory i nie chciałbym jej zawieść, szukam więc definitywnej odpowiedzi.

W książkach jej nie znajdziesz.

- Zaczynam zdawać sobie z tego sprawę. Chociaż gdybym położył wszystkie teksty z argumentami „za” po jednej stronie, a te „przeciw” po drugiej, „za” byłoby więcej. Co o tym myślisz?

- Jestem za.

- Dlaczego?

- Dlatego, że mój ulubiony profesor na medycynie był za - wyjaśniła. - To nie jest dobry powód, co?

- To zależy od tego, kto był twoim ulubionym profesorem.

- No tak. Napisał wiele z tych artykułów, które masz na biurku.

- Artykuł, który sugeruje, że nie obrzezany napletek

trzykrotnie lub nawet czterokrotnie zwiększa ryzyko zarażenia się AIDS, jest bardzo interesujący, choć rodzice noworodków chyba nie myślą w tych kategoriach.

- Być może twój problem polega na tym, że jeśli nie przekonasz swojej pacjentki do obrzezania, będziesz musiał jej wyjaśnić, jak postępować z napletkiem u noworodka i jak go utrzymywać w czystości.

Lucas przyglądał jej się przez chwilę bez słowa.

- Punkt dla ciebie - oznajmił wreszcie. - Chyba mnie przekonałaś.

Wstał i zaczął zbierać z biurka książki i skrypty medyczne, ustawiając je z powrotem na prostym regale, zajmującym jedną ścianę gabinetu. Sam pokój był wspaniały: miał wysoki sufit, parkiet na podłodze i dużą wnękę z oknem, lecz efekt psuły pospolite meble.

Francesca odruchowo pomogła Lucasowi ustawić książki i zainteresowała się kilkoma tytułami. Lucas miał zupełnie porządną bibliotekę. Kiedy wstawiała na półkę ostatni tom, Lucas sięgał właśnie na wyższy poziom, by odłożyć tam zszywkę z rocznikami i dotknął rękawem koszuli jej ramienia. Jednocześnie Francesca poczuła na włosach jego ciepły oddech.

- Posłuchaj - powiedziała szybko. - Nie o tym chciałam mówić. Przyszłam, żeby... ci bardzo podziękować za...

- Nieprawda - zaprzeczył. - Chcesz mnie pocałować. Tak samo jak ja ciebie. Cały czas żałowałem, że w zeszłym tygodniu nie wykorzystałem okazji.

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i pocałował, będąc absolutnie pewnym, że go nie odepchnie.

- Och, Chess - szepnął. - Co ty ze mną wyprawiasz?

Myślałem, że cię znienawidzę. Do głowy mi nie przyszło, że nadal będę cię pragnął. - Obiema dłońmi uniósł do góry jej włosy i gładził kark.

- Lucas... - Zabrakło jej słów.

- Czujesz to samo, prawda? - Wziął w dłonie jej twarz i wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem. - Też w to nie wierzysz, ale chcesz, prawda?

- Tak.

Dotknęła palcami jego włosów, a potem przesunęła ręce w dół, gładząc miękką, bawełnianą koszulę.

- To ubranie nic ci nie pomoże - powiedziała, pociągając za węzeł krawata. - Niektórzy mogą się na to nabrać, ale ja na pewno nie. Wiem, co jest pod spodem...

- I ty tego chcesz, prawda? Tak jak ja chcę ciebie, księżniczko. Nie protestuj! Nie chcę cię obrazić. Zawsze byłaś nieosiągalna, a teraz okazuje się, że czujesz to samo...

Była lekko zaskoczona wybuchem jego uczucia, lecz zdołała się jakoś opanować. Odsunęła głowę i oparła ją na piersi Lucasa, słuchając niespokojnego bicia jego serca.

- Mam nadzieję, że nie przyjdzie już żaden spóźniony pacjent - powiedziała wreszcie. - Chyba nie zamknęłam drzwi.

- Nic by się nie stało. Jesteśmy dorośli.

- Sam pomyśl, że ktoś by nas zobaczył, niespecjalnie mnie podnieca.

- Ale nie masz się czego wstydić.

- Nie o to chodzi. Nas łączy nie tylko ten pocałunek.

- Wiem. Serce wali mi jak szalone i w głowie mi się kręci, kiedy pomyślę o tobie...

- Nie, Lucas.

- Dobrze - zgodził się i odsunął. - Masz rację. Rozumiemy się, prawda? Nie powinniśmy ryzykować. To nie było częścią twojego planu.

Odwrócił się do niej tyłem i milczał. Francesca przyglądała się jego szerokim plecocom.

- Pójdę już - mruknęła w końcu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Zaczekaj! Nie idź, dobrze? Zjedźmy razem kolację. Spojrzał na zegarek i zmrużył oczy, zastanawiając się nad czymś.

- Bardzo chętnie.

- Pojedziemy do restauracji za miastem. W połowie drogi między Wayans Falls a Stedman Point, jakieś pół godziny drogi stąd, jest niezła chińska knajpka. Może być?

- Może być.

- Świetnie, lubię jeździć samochodem. Czy musisz pójść najpierw do domu? - Obrzucił szybkim spojrzeniem szafirową, rozpinaną spódnicę i dopasowaną do niej kolorem jedwabną bluzkę. - Moim zdaniem wyglądasz bardzo dobrze.

- Dziękuję. Nie, nie muszę iść do domu. Wszystko pozamykałam, mam przy sobie pager i komórkę.

- Poczekaj tu chwilę, zaraz wracam.

Zniknął w mieszkalnej części domu. Francesca słyszała tylko oderwane dźwięki: otwieranie lodówki, kroki, szum wody. Lucas wrócił po paru minutach i wyjął z biurka pęk kluczy. Pięć minut później siedzieli w jego wygodnym samochodzie.

Jechał bocznymi drogami, nie autostradą, przez drewniany most nad rzeką Buckhorn, przez górską przełęcz w dół do jeziora Edward. Szosa wiodła nad brzegiem dużego jeziora; jej pobocza upstrzone były znakami wska-

żującymi drogę do ekskluzywnych moteli i pensjonatów. Powierzchnia wody prześwitująca przez gałęzie sosen była gładka i błyszcząca.

- Lubię to miejsce - powiedział Lucas, odzywając się po raz pierwszy, odkąd ruszyli.

- Ja też. Brakowało mi go w czasie studiów i praktyki w Nowym Jorku. Wiesz, rodzice zawsze odwiedzali mnie w Nowym Jorku, bo nie chcieli, żebym traciła zbyt dużo czasu na dojazdy do domu. Woleli, żebym jak najwięcej czasu poświęcała nauce. Wyobraź sobie, że bali się o moje końcowe egzaminy.

- Nie do wiary!

- Na wakacje jeździliśmy na Florydę, dwa razy byliśmy w Europie. Kiedy tu wróciłam dwa i pół tygodnia temu, był to zaledwie mój trzeci przyjazd w ciągu dwunastu lat. A ty? Często przyjeżdżałeś?

- Niezbyt często. Przez jakiś czas mieszkałem w New Jersey, a potem studiowałem w Ohio.

- Nie wiedziałam.

W czasie posiłku rozmawiali o studiach, problemach na stażu, pierwszych pacjentach i doświadczeniach z poważnymi chorobami. Bez pośpiechu delektowali się jedzeniem i chłodnym, białym winem.

Na twarzy Lucasa widniało nie skrywane pożądanie. Aarii jednym słowem, dotykiem, pocałunkiem czy pieszczotą nie nawiązał do tego, co zdarzyło się wcześniej, oboje jednak wiedzieli, że coś z tym muszą zrobić. Pociągające było to niebezpieczeństwo, niedopowiedzenie, coś, co się łączyło z niejasną przeszłością Lucasa, z jego wybuchami gniewu, nie wyjaśnionymi plotkami.

- Nie wracajmy jeszcze do domu - poprosił, kiedy po skończonym posiłku szli do samochodu. - Pojedźmy nad jezioro. Ogrzeję cię - dodał, rzucając okiem na jej cienką jedwabną bluzkę.

Sezon turystyczny dopiero się zaczął i Lucas bez problemu znalazł miejsce na parkingu przy boisku do mini-golfa. Srebrna poświata lśniła na czarnej powierzchni wody, z której gdzieniegdzie wynurzały się łebki kaczek oczekujących na okruchy chleba.

- Przykro mi bardzo - poinformował je Lucas - ale mam inne plany.

Dotrzymał obietnicy; Francesca nie tylko nie marzła, lecz od pocałunków i pieszczot Lucasa było jej coraz bardziej gorąco.

- Wracamy? - spytał w pewnej chwili, obawiając się, iż za moment przestanie nad sobą panować i sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna.

- Tak - szepnęła.

Tym razem nie tracił czasu na jazdę bocznymi drogami, lecz jak najszybciej wjechał na autostradę i odwiózł Francescę do domu.

- Napijesz się kawy? - spytała, zanim wysiadła z samochodu.

- Chętnie. Najwyższa pora wyjaśnić sobie parę rzeczy. Pozałowała, że go zaprosiła* gdy tylko weszli do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lucas widział już wprawdzie pomieszczenia lekarskie, gdy przyszedł do chorego Erica Saltmana, ale nie znał mieszkalnej części domu i Francesca, prowadząc go teraz za sobą, zdała sobie sprawę, w jak dużym stopniu te luksusowe wnętrza świadczą o zawodowym sukcesie ojca.

Minęli antyczną wazę na specjalnym postumencie i oryginalny obraz olejny z dziewiętnastego wieku, przedstawiający jezioro Edward wraz z otaczającymi je szczytami. W kuchni szumiała cicho ogromna, nowoczesna lodówka z zamrażarką i błyszczały szklane drzwiczki drogich szafek.

Pani Mayberry nastawiła już elektryczny ekspres do kawy na siódmą czterdzieści pięć rano. Francesca musiała się chwilę zastanowić, jak zmienić zaprogramowane czynności.

- Nie wiem, po co ludziom takie rzeczy - mruknęła.
- Więcej zachodu niż to warte.
- Jak widać.

Lucas stał pośrodku kuchni zgarbiony, z rękami w kieszeniach. Najwyraźniej nie czuł się tu dobrze. Francesca tymczasem wiedziała, że wygląda jak „księżniczka” i była z tego powodu wściekła. Urządzenie to należało do rodzi-

ców i ona nie przywiązywała do niego żadnej wagi, choć trudno przysłoby jej wytłumaczyć to Lucasowi.

Ponieważ drżały jej ręce, rozsypała kawę na granitowym blacie; ze złością rzuciła plastikową miarkę.

- Nienawidzę tego. Przepraszam. Naprawdę chcesz kawy? Och, tak. Powiedziałaś...

Rozejrzała się nerwowo po kuchni, szukając jakiejś szmatki do wytarcia blatu. Lucas szybko znalazł się przy niej.

- Chess...

Objął ją i zaczął całować, pieszcząc dłońmi jej piersi. Zadrżała i mocniej do niego przywarła. Nie była w stanie wymówić słowa i stała z zamkniętymi oczami, nieruchoma niczym posąg. Lucas zsunął jej z ramion bluzkę i odpiął stanik.

- Chodźmy na górę - szepnął. - Chcę...

- Wiem. Ja też tego chcę...

- Niczego nie planowałem.

- Czy plany są takie ważne?

- Mieliliśmy porozmawiać. Musimy porozmawiać, nim pójdziemy do łóżka.

Przesunął dłonią po plecach Franceski, jakby chciał przedłużyć wzajemny kontakt, po czym odsunął się od niej raptownie.

- Muszę wiedzieć - rzekł stłumionym głosem - co ojciec ci powiedział. Na ile byliście współnikami?

- Mój ojciec? Co on ma z tym wspólnego? Jakimi współnikami?

- Powiem wprost, Francesco. Czy według ciebie to przypadek, że twój dom wygląda tak, jak wygląda, a poczekalnia pęka w szwach, gdy tymczasem mój dom przy-

pomina ruinę i mam może dziesięciu pacjentów tygodniowo?

- Nie, nie uważam, że to przypadek. Słyszałam różne opowieści o tobie i o twojej rodzinie. Z takimi plotkami trudno wygrać, to musi potrwać. Zwłaszcza..

- Zwłaszcza jeśli konkurencja robi, co może, żeby plotki rozprzestrzeniły się coraz bardziej - przerwał jej.

- Konkurencja? Chcesz powiedzieć, że mój ojciec opowiadał te historie?

- On tylko zaczął. Doktor Brady nie musiał niczego rozgłaszać, inni to za niego zrobili. Tu zdanie, tam dwa zdania, i wystarczyło. Zapewne mówił o wszystkim bardzo wstrzemięźliwie, w końcu oczerniał kolegę lekarza. Wszyscy lubimy stwarzać wrażenie, że jesteśmy lojalni. Jeśli człowiek mówi każdemu i przy każdej okazji, że ten drugi lekarz pije, daje synowi narkotyki i kryje jego sprawki, naruszając etykę lekarską i popełniając oczywiste błędy, ludzie mogą w to nie uwierzyć. Jeśli jednak ten sam człowiek powie o tym niechętnie, w zaufaniu, jednej czy dwóm starannie wybranym osobom...

- Jak śmiesz!

Podniosła z podłogi bluzkę i szybko włożyła ją na siebie, nie zawracając sobie głowy stanikiem, czego natychmiast pożałowała, bo bluzka z cienkiego jedwabiu niedostatecznie ją okrywała. Z irytacją związała poły bluzki pod biustem.

- Jak śmiesz! - powtórzyła z gniewem. - O co ci chodzi? Czy musisz tłumaczyć... no, powiedzmy, zaniedbania twojego ojca, rzucając oszczerstwa na mojego? Nie mówiąc już o...

Urwała. Nie wierzyła do końca w pogłoski o tym, że Lucas bierze narkotyki, i nie chciała na razie wykorzystywać tego argumentu. Musi wiedzieć coś więcej na ten temat. Na razie wątpliwości nadal przemawiały na jego korzyść,

- O czym, Francesco? Co takiego miałaś na myśli?

- O twojej przeszłości.

- Przeszłości! - powtórzył ironicznie. - Nie wydaje ci się, że jestem na tyle dobrym lekarzem i porządnym człowiekiem, że poradziłbym sobie, gdyby tylko o to chodziło? Nie byłem aż tak szalony w młodości, żeby mi ludzie nie wybaczyli. Jeżeli jednak muszę walczyć z czymś, co zostało zaplanowane i wykonane tak, żeby wypędzić mnie stąd, tak jak wypędzono mojego ojca... I w dodatku cała ta kampania trwa. Ktoś wciąż rozgłasza plotki. Lyn Parker powiedziała, że nie wierzy w to, że biorę narkotyki, choć wszyscy tak mówią. Jacy wszyscy?

- Uważasz, że to ja, prawda?

- Nie. Ale chciałbym wiedzieć kto.

- Nie wystarczy ci oskarżanie mojego ojca. I pomyśleć, że tak bardzo się starałam, żeby cię niesprawiedliwie nie osądzać. Nawet teraz powiedziała, wybuchając gorzkim śmiechem.

Kiedy podniosła wzrok, przekonała się, że Lucas przygląda jej się uważnie, rozważając jej słowa.

- Starłaś się mnie niesprawiedliwie nie osądzać - powtórzył po dłuższej chwili milczenia. - To ci się chwali. Oskarżyłaś mnie, że rzucam oszczerstwa na twojego ojca. Ja uważam, że on usiłował zniszczyć mojego ojca i mnie, i że ty o tym wiedziałaś. Wydaje mi się, że oboje mamy

się nad czym zastanawiać, więc pozwolisz, że sobie teraz pójdę. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Pewno, że nie mam - skłamała.

Czuła się rozdarta. Nie wierzyła w oskarżenia Lucasa, nie chciała w nie wierzyć, a jednocześnie pragnęła go aż do bólu.

On tymczasem szedł już do wyjścia.

- Lucas, zaczekaj! Powinniśmy przynajmniej spróbować...

- Przemysł to sobie, Francesco - odparł, nie zatrzymując się.

Francesca wróciła do kuchni, nastawiła ekspres do kawy na rano, sprzątnęła rozsypaną kawę, odstawiła do szafki puszkę, podniosła stanik i zmięła go w dłoni, po czym zgasiła światło. W domu panowała cisza, kiedy jednak przechodziła przez korytarz, stary zegar w bibliotece zaczął wybijać godzinę i Francesca naliczyła dwanaście uderzeń. Jej książkę o północy zmienił się w żabę.

Jak on śmie oskarżać ojca? Z pewnością bierze się to z kompleksów spowodowanych nieudaną praktyką starego doktora Wilde'a. Z drugiej strony Lucas nie potrzebował tego typu wymówek i usprawiedliwień.

- To nie do wytrzymania - powiedziała na głos.

Weszła na górę do łazienki i z niedowierzaniem obejrzała się w lustrze. Potargane włosy, związana bluzka odsłaniająca goły brzuch, i do tego pager przy pasku od spódnicy. A poza tym wyraźne pożądanie w oczach, którego nie zgasiły nawet słowa Lucasa.

Pospiesznie wbiegła do sypialni i przebierała się właśnie w skromną koszulę nocną, gdy usłyszała podjeżdżają-

cy pod dom samochód, a w chwilę potem głośne stukanie do drzwi. Lucas wrócił, by zakończyć konfrontację. Tak na pewno będzie lepiej.

Z tą myślą zbiegła po schodach i otworzyła szeroko drzwi. Przed nią stali rodzice. Zmęczony ojciec opierał się na ramieniu matki,

- Mamo! Ojczy! Co...

- Chyba się domyśliłaś, że to my, skoro bez namysłu otworzyłaś drzwi w środku nocy - stwierdził ojciec z niewzruszoną logiką. Miał nadal zatrwająco słaby głos.

- Minęła północ.

- Oczywiście, nie pomyślałam.

Teraz musiała zapomnieć o Lucasie i skoncentrować się na tym, co mówią rodzice. Pospiesznie usunęła się z przejścia, by mogli wejść do środka.

- Przyjechalibyśmy znacznie wcześniej, gdyby twoja matka nie Uparła się na kolację w restauracji.

- Byłeś bardzo zmęczony, kochanie - rzekła łagodnym tonem matka i zwróciła się do córki; - Twój ojciec nadał nie potrafi zaakceptować spokojniejszego trybu życia.

- Nie wiedziałam, że macie zamiar przyjechać - powiedziała Francesca, idąc za nimi korytarzem do kuchni. Starła się, by nie zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę - wyjaśniła matka. - I zobaczyć, jak sobie dajesz radę. Zamierzaliśmy przyjechać trochę później, dowiedzieliśmy się jednak...

- Że zachowałeś się tak okrutnie wobec biednej Betty Mayberry - wpadł jej w słowo ojciec, zapalając światło w kuchni i podchodząc chwiejnym krokiem do lodówki.

Francesca uznała, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy

wyraźnie się postarzał. Ojciec wyjął z lodówki butelkę z mlekiem i odwrócił się do córki z rozżalonym wyrazem twarzy.

- Jak mogłaś! Betty płakała, kiedy opowiadała mi o tym przez telefon, i jeszcze bardziej się zdenerwowała, kiedy się okazało, że o niczym mi nie powiedziałaś. Pracowała u mnie przez dwadzieścia pięć lat, a ty w ciągu jednego tygodnia zmusiłaś ją do rezygnacji z pracy. W dodatku jest pewna, że zrobiłaś to celowo.

- Miałam zamiar wszystko ci opowiedzieć. Chciałam cię poprosić o radę w sprawie prezentu lub jakiejś premii...

- W tej sytuacji należy jej się i jedno, i drugie.

Ojciec miał zaczerwienioną twarz i ciężko oddychał. Francesca podsunęła mu krzesło i zmusiła, by usiadł.

- Chciałam najpierw znaleźć kogoś na jej miejsce, żebyście się nie martwili - rzekła Francesca.

- Może uda się nam namówić ją do powrotu - oznajmiła matka, nalewając mleko do dwóch kubków i wstawiając je do kuchenki mikrofalowej. - Jeśli ojciec ją poprosi...

- Będzie to niewątpliwie wymagało pewnego zachodu - wtrącił ojciec. - Nie tak sobie wyobrażałem pierwszą wizytę w nowej pracy mojej córki, ale dam sobie radę. Znam Betty. Zrobi to dla mnie.

- Ale ja nie chcę, żeby pani Mayberry wróciła! - zawołała zdesperowana Francesca. - i dziwię się bardzo, że skarżyła się tobie przez telefon. To ona zaproponowała, że odejdzie. Powiedziała, że nie potrafi zmienić swoich przyzwyczajień, a ja uważam, że to prawda. Nie potrafiła nawet przynieść mi kawy o tej godzinie, o której prosiłam.

- Chcesz powiedzieć, że poszło o kawę? - spytał ojciec schrypniętym głosem.

- A propos, gdzie jest czekolada w proszku? - dociekała matka.

- Nie ma.

- Jak to nie ma? W lutym były dwie pełne puszki.

- Zapewne Preston wypił. Nie lubię czekolady i nie kupiłam nowego opakowania.

- Więc niepotrzebnie grzałam mleko? Ojej...

- Czy to takie ważne? - spytała zmęczona Francesca.
- Jest po północy. Ojciec musi odpocząć, ja też już szłam spać. Mam jutro masę pacjentów, a jeśli dojdą wizyty domowe...

- Och, chętnie cię zastąpię przez kilka godzin po południu, gdybyś chciała pojechać z matką po zakupy albo uciąć sobie drzemkę - zaofiarował się ojciec. - Jeszcze całkiem nie zramolałem. I jestem pewien, że pacjenci z przyjemnością mnie zobaczą na starych śmieciach, nawet jeśli to będą tylko gościnne występy.

- Nie. Jesteś bardzo zmęczony. Poza tym to jest teraz moja praktyka.

- Rano musisz odpocząć, Frank - oświadczyła matka.

- A potem na pewno zaprosisz Betty na obiad.

- Tak, tak, zaproś panią Mayberry na obiad - poparła ją Francesca— nie nalegaj jednak, żeby wróciła do pracy. Ona jest za bardzo przyzwyczajona do ciebie i twoich zwyczajów. Jest zbyt lojalna. Wie, że byłeś... jesteś świetnym lekarzem.

- Nie miałem pojęcia, że można być zbyt lojalnym
- mruknął ojciec.

- Więc widzisz, że można. Przykro mi, że pani Mayberry tak się tym przejęła, powinna jednak była przyjść z tym do mnie, a nie dzwonić do ciebie z płaczem.

Rodzice spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Ostatnio ciężko pracuję - wyjaśniła prędko Francesca. - Przepraszam za mój ton. Jestem naprawdę zmęczona. Czy nie moglibyśmy pójść teraz spać? Porozmawiamy rano.

- To dobry pomysł - przyznała matka, spoglądając na męża błagalnym wzrokiem.

Frank Brady niechętnie skinął głową.

- Wstaw mleko do lodówki. Przyda się rano do kawy.

W restauracji Gablesów było pustawo, kiedy następnego wieczoru rodzina Bradych udała się tam na kolację. Potraktowano ich jak honorowych gości, z troską wypytując o zdrowie doktora Brady'ego, podając dodatkowe przystawki na koszt firmy i sadzając ich przy najlepszym stoliku przy dużym oknie z widokiem na Buckhorn Park. Francesca poczuła się zażenowana, gdy grupa turystów zaczęła im się przyglądać z nie skrywanym zainteresowaniem. Rozczarują się, pomyślała. Ojciec jest wyłącznie lokalną gwiazdą.

Gablesowie mieszkali w Darrensbergu od piętnastu lat i doktor Brady przyjmował na świat wszystkie ich dzieci, a także ratował właściciela restauracji, kiedy ten się mocno poparzył w kuchni. Wielu mieszkańców miasteczka miało podobne powody, żeby być doktorowi wdzięcznym. Z drugiej strony muszą chyba istnieć ludzie, którzy mają podobne odczucia wobec doktora Wilde'a. Francesca

przez cały dzień czekała na okazję, by wypytać ojca, co się naprawdę przed laty stało. Tej nocy znów źle spała, choć poprzedniego dnia nie miała na szczęście dodatkowych wizyt domowych ani konsultacji telefonicznych. Nie mogła jednak zapomnieć o okrutnych słowach Lucasa.

Teraz, przy kolacji, po raz pierwszy miała szansę porozmawiać z ojcem. Poczuła, że wilgotnieją jej dłonie. Nie chciała wysłuchiwać okropnych historii z przeszłości ani terażniejszości Lucasa. A zatem co chciałyby usłyszeć? Że Lucas miał rację, oskarżając jej ojca?

- Ze zdumieniem dowiedziałam się, że Lucas Wilde też tu prowadzi praktykę - zaczęła od niechcienia, odkładając łyżkę i uważnie obserwując ojca.

- Zupełnie zwariował! - oświadczył Frank Brady. - Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy Betty mi o tym powiedziała. Byłem pewien, że żaden z Wilde'ów nie będzie tu już prowadził praktyki. Ale nic się nie martw, on tu długo nie zostanie.

- Wcale się nie martwię. To znaczy, mam nadzieję, że Lucas jednak przetrwa. W Darrensbergu wystarczy pacjentów dla dwóch lekarzy.

- To najlepsza okazja, żebyś zaprosiła kogoś do spółki - mruknął niecierpliwie ojciec. - Musisz rozwijać praktykę. Popytaj wśród znajomych ze studiów i jeśli znajdziesz kogoś z dobrą opinią, zaproponuj mu współpracę. Sytuacja w medycynie nie jest najlepsza. Zwłaszcza w medycynie! Dlatego tak ciężko pracowałem, żeby zostawić ci praktykę w jak najlepszym stanie. Dwanaście lat temu, kiedy zaczynałaś studia, postanowiłem zapewnić ci tu możliwie najlepsze warunki pracy.

- Dwanaście lat temu! Przecież mówiłam ci wtedy, że chcę się zająć położnictwem. Nie miałam zamiaru.

- Wiedziałem, że w końcu tu wrócisz. Zawsze chciałem zostawić praktykę któremuś z moich dzieci.

- Ależ, tato, niemal siłą wypchnęłam cię na emeryturę.

- Zgadza się. Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, jeszcze trochę bym popracował, ale ty i matka postawiłyście na swoim. Robicie ze mną, co chcecie.

Francesca sądziła, że wygrała wielką bitwę, przekonując ojca, aby przeszedł na emeryturę i pozwolił jej przejąć praktykę, tymczasem wszystko było ukartowane. Ojciec niełatwo rezygnował z kontrolowania otaczającej go rzeczywistości i był przekonany, że i tak wszystko wie najlepiej.

- W moim przypadku współpraca z innym lekarzem nie wchodziła w rachubę - przyznał Frank Brady. - Za bardzo lubię rządzić - dodał ze śmiechem. - Dla ciebie natomiast taka współpraca byłaby korzystna. Pomyśl o tym, jak się już tu zadowolisz, dobrze?

W jego głosie znów zabrzmiało zmęczenie i Francesca przelotnie pomyślała o moralnym szantażu, choć, naturalnie, ojciec nigdy by się do czegoś takiego nie posunął.

- Może Lucas zechce wejść ze mną do spółki - powiedziała z namysłem.

Musi się przekonać, na ile uzasadnione są oskarżenia, które wysunął Lucas.

- Co za idiotyczny pomysł! - wybuchnął ojciec.

- Dlaczego?

- Jeśli ty masz tu rządzić, musisz przyjąć kogoś spoza Darrensbergu. To ciebie mają wybierać pacjenci, i dopiero

w drugiej kolejności iść do innego lekarza. Mówiłem ci już, że zbliżają się kiepskie czasy i im więcej pacjentów, tym lepiej. Pamiętaj.

- Lucas nie jest zbyt popularny i nie miałabym problemów z wyborem pacjentów. Chyba że okazałoby się, że naprawdę jest dobrym lekarzem i ludzie wreszcie by się o tym przekonali. Być może nie zasłużył na złą opinię.

- Nie zasłużył? - powtórzył doktor Brady, czerwieniejąc gwałtownie i z trudem oddychając. - Jak to nie zasłużył? Jeździł tym okropnym motocyklem, wyrzucono go ze szkoły...

- Piętnaście lat temu. Poza tym nie popełnił żadnego przestępstwa. Stary, doktor Wilde nie żyje, Lucas się zmienił, a mimo to prześladują go okropne plotki, które, jak zdołałam się przekonać, nie mają żadnego związku z rzeczywistością.

- Bzdury!

- Czy doktor Wilde rzeczywiście się upijał albo dawał Lucasowi narkotyki?

- To prawda, i wszyscy o tym wiedzą.

- Wszyscy? Jacy wszyscy? Kto ma dowody? I kto pierwszy zaczął o tym opowiadać? Czy miałeś z tym coś wspólnego?

- Znam, oczywiście, te historie. Ludzie mówili...

- Wiem, co ludzie mówili. Sama słyszałam, ale w tych opowiadaniach nie ma żadnych szczegółów, które mogłyby potwierdzić, że to prawda. Wprost przeciwnie. Pytam cię, czy powtarzałeś te plotki? A może wyszły od ciebie?

- Jak śmiesz sugerować coś podobnego?!

- Czy to prawda?

- Lucas zrobił dziecko jakiejś dziewczynie. Sam ich widziałem w Wayans Falls któregoś dnia. A potem była ta dziewczyna, która umarła przy porodzie w jakimś baraku, kiedy James Wilde się nią zajmował. Przypadek? Wątpię. Rodzona siostra tej dziewczyny powiedziała...

- Sharon Baron? Poznałam ją. To ci dopiero wiarygodny świadek! - stwierdziła sarkastycznie Francesca, choć czuła wyrzuty sumienia, że się w ten sposób odzywa do ojca.

- Mimo wszystko coś w tym musiało być.

- A ty zaczęłaś rozpowszechniać te pogłoski?

- Co to ma być? Jakiś sąd nade mną czy co? - Frank Brady zwrócił się do żony.

- Ależ skąd, mój drogi. Chess, nie mam pojęcia, dlaczego...

- Dlatego że ojciec zrobił to celowo, prawda? Wyolbrzymiłeś fakty i przydałeś im wiarygodności swoim zawodowym prestiżem. Mnie też opowiedziałeś o wszystkim, jakby to była szczerą prawdą. I powiedziałeś, że doktor Wilde stracił prawo uprawiania zawodu. Ludzie przestali się u niego leczyć, i tak powstało błędne koło. Pod wpływem niekorzystnej sytuacji doktor Wilde stracił chęć do pracy i motywację, jego praktyka zmalała niemal do zera, a to z kolei stało się dowodem na jego „picie”.

- Nic nie rozumiesz, Francesco. James Wilde nadawał się wyłącznie na lekarza rodzinnego - ogólnego, jak się wtedy mówiło. Ja mogłem zostać specjalistą i byłbym nim został, gdyby nie niekorzystny splot okoliczności na Harvardzie. Ktoś inny wykorzystał zaistniałe możliwości i musiałem poprzestać na małomiasteczkowej praktyce.

Zawsze jednak byłem lepszy od Jamesa. Przychodził do mnie, kiedy nie umiał postawić diagnozy. Wiele razy przyznawał, iż popełnił błąd. Nie wykrył wczesnej ciąży. Stwierdził złośliwego raka, kiedy nowotwór był dobrotliwy. Dla wszystkich było lepiej, że to ja miałem więcej pacjentów. Także dla ciebie. Nie sądzisz, że moim obowiązkiem wobec mieszkańców Darrensbergu było poinformowanie ich o wątpliwościach wobec Jamesa?

- Nie - odrzekła przez ściśnięte gardło. - Nie sądzę.

- No to musisz zmądrzeć. Wydorosłeć. Zobaczyć świat taki, jaki jest naprawdę. Nie ma w nim miejsca na sprawy honoru. Przekonałem się o tym, gdy byłem jeszcze studentem. Oliver Slade umarł i moje miejsce na stażu, które mi obiecał, zajął ktoś inny.

- To było takie niesprawiedliwe - powiedziała Jean Brady z oburzeniem.

- Lucas Wilde jest doskonałym lekarzem i nie może zdobyć pacjentów.

- Nie powinien był tu wracać. Tylko my powinniśmy prowadzić praktykę w Darrensbergu. A, czy to mój honor? - spytał, zwracając się ze słabym uśmiechem do właściciela restauracji, który osobiście ich obsługiwał. - Jak zwykle wygląda wspaniale.

Francesca nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, a ojciec najwyraźniej uznał temat za zamknięty.

Rodzice wyjechali trzy dni później. Ich wizyta nie była udana. Pani Mayberry, całkowicie przekonana, że Francesca jej nie znosi, schodziła jej z drogi, nie mogąc się doczekać końca tygodnia. Francesca, po raz pierwszy

w życiu występująca w roli potwora, czuła się dość paskudnie.

Ponadto przeraziło ją zachowanie rodziców. Wiedziała wprawdzie od dawna, że ojciec uważa się za najmądrzejszego lekarza na świecie, że nie toleruje cudzych pomyłek, że łatwo wpada w złość i pielęgnuje w sobie jakiś kompleks z lat studenckich. Wiedziała także, że matka każdym słowem, gestem i uczynkiem utwierdza ojca w jego przekonaniach. Jednakże Francesca nie mogła pogodzić się z tym, że słabość ojca - bo tak to nazywała - mogła doprowadzić do celowego zniszczenia innego lekarza.

Wieczorem, po wyjeździe rodziców, zadzwoniła do starszej siostry, Luizy, która po wyjściu za mąż wyjechała do Kanady. Luiza była osiem lat starsza od Franceski i lepiej orientowała się we wszystkim, co działo się w Darrensbergu, gdy Francesca była jeszcze dzieckiem.

- Posłuchaj, Chess - rzekła Luiza, kiedy Francesca wylała już swe żale. - Nie zapominaj, że ojciec i doktor Wilde zawsze rywalizowali. To nie było jednostronne działanie.

- Wiem.

- Myślę, że na samym początku, trzydzieści lat temu, chętnie z sobą współpracowali. Regularnie podsyłali sobie pacjentów, a potem popisywali się swoim wspaniałomyślnym zachowaniem w klubie golfowym w Wayans Falls. Później wszystko się zmieniło. Ojciec zaczął się wyśmiewać z lekko staromodnych metod doktora Wilde'a, ale wiem, że James Wilde nie pozostawał mu dłużny. Mawiał, że ja źle skończę, wyobrażasz sobie? W wieku szesnastu lat uważałam to za komplement.

- Wcale mnie to nie dziwi.
- Kiedy Lucas urósł i zaczął się buntować, plotki przybrały na sile. Nasz ojciec sporo tu zawinił, ale najbardziej przysłużyła się Wilde'owi pani Mayberry. U niej dwa i dwa równa się pięć. Ona wymyślała najgorsze plotki.
- Na przykład tę o alkoholizmie doktora Wilde' a?
- W pewnym okresie uważał się on za wielkiego znawcę win, ale więcej było w tym gadania niż picia.
- A ta historia o kobiecie, która się wykrwawiła w czasie porodu w leśnym baraku?
- Nigdy przedtem o tym nie słyszałaś?
- Miałam piętnaście lat i byłam bardzo grzeczną pannienką, Luizo.
- Tak, tak, to prawda. Najmłodszy zawsze mają najlepiej.
- Niekoniecznie - stwierdziła ponuro Francesca.
- Założę się, że pani Mayberry nadal opowiada te swoje historie.
- To prawda. I w dodatku jest szczerze przekonana, że postępuje słusznie.
- I tak samo uważa ojciec, chociaż wiemy, że nie ma racji, prawda?
- To znaczy, że Lucas nie wydzwignie się z dołka?
- Biedny Lucas. W gruncie rzeczy był zawsze fajnym facetem. Gdybym nie była dla niego za stara, chętnie bym się z nim przejechała tym jego harleyem.
- Będę do ciebie częściej dzwoniła, skoro już tu wróciłam - oznajmiła Francesca, podniesiona na duchu rozmową z siostrą. -i przyjadę do was, jak tylko będę miała trochę czasu.

- Serdecznie zapraszamy. Montreal nie jest tak daleko.
- Na razie mam strasznie dużo pacjentów. Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiałam.
- Chętnie bym cię odwiedziła, gdybym nie miała szóstki dzieciaków.
- Najpewniej spotkamy się, jak zwykle, na Florydzie, w czasie świąt.

Dzięki Bogu za rozumną i pogodną starszą siostrę, pomyślała z ulgą Francesca, gdy odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Minał tydzień od dnia, gdy Lucas wyszedł rozniewany z domu Franceski. Widziała go w tym czasie dwa razy - kiedy przejeżdżała State Street, a Lucas pracował przy remoncie domu, wykorzystując długie, letnie wieczory. I w dodatku okazało się, że to on miał rację - wina leżała po stronie jej ojca.

Muszę go przeprosić, postanowiła Francesca w środę wieczorem. Wprawdzie nie naprawi to naszych stosunków, na to jest już za późno, ale niech wie, że jeśli nie uda mu się postawić praktyki na nogi, to nie będzie to przeze mnie. Najlepiej do niego napiszę. Przez telefon wszystko mi się popłacze.

Kiedy jadła kolację, do głowy przychodził jej setki wspaniałych słów, gdy jednak wyrzuciła plastikową tacę i zasiadła do pisania listu, wszystkie eleganckie zwroty gdzieś uciekły. Spędziła piętnaście minut przed ekranem komputera i nic sensownego nie przyszło jej na myśl. Wstała, przeszła do kuchni, i znów wróciła do gabinetu.

Wreszcie udało jej się napisać konkretny, uprzejmy, choć dość suchy i oficjalny list z przeprosinami. Z kartką wypłutą przez laserową drukarkę wyszła na dwór i usiadła na stopniach werandy. Tak samo siadywała tu przed laty, czekając, aż Lucas przejedzie na swoim harleyu.

Czytała po raz kolejny swój list, zadowolona z ogólnego tonu i odpowiednich sformułowań, kiedy na pustej i cichej ulicy rozległ się dźwięk silnika motocyklowego. Rozejrzała się i natychmiast rozpoznała znajomy kształt pojazdu i czarny kask. Wstała i przez dłuższą chwilę spoglądała z nostalgią za znikającym w oddali motocyklem. To na pewno Lucas. Pojechał drogą do Northview.

Szybko podpisała list, włożyła go do koperty i pobiegła do domu Lucasa. Wszędzie było cicho i ciemno, jedynie gdzieś na tyłach domu paliło się pojedyncze światło. Weszła na palcach na ganek i wsunęła list w szparę w drzwiach. Wreszcie się wszystko skończy. Pocałunek z zeszłego tygodnia stał się równie odległy jak ten sprzed piętnastu lat, a namiętny uścisk dziś wydawał się snem.

Lucas znalazł list, kiedy wrócił z przejażdżki. Ręcznie zaadresowana koperta. Od kogo? Od Chess...

Przeprosiny. Uprzejme i szczerze. Po raz kolejny pożałował, że tamtego wieczoru powiedział Francesce tyle przykrych słów. W dodatku nie miał powodów, by ją osobiście czymkolwiek obciążać. Jak sama mówiła, nie wierzyła w te wszystkie plotki. Dlaczego zatem był do niej tak negatywnie nastawiony, i to od chwili, gdy się dowiedział, że wraca? Czyżby jej zazdrościł dobrze ustawionej praktyki?

Wszystko wzięło swój początek piętnaście lat wcześniej, podczas rozmowy z Frankiem Bradym w jego gabinecie.

— Wiem, co zaszło między tobą a Francesca kilka dni temu - oznajmił doktor Brady. - I na tym koniec, rozu-

miesz? Francesca jest za młoda, ma przed sobą wspaniałą przyszłość, a ty... Kim ty jesteś? - Starszy pan obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. - Jeśli się dowiem... Jeśli Francesca powie mi, że znów ją zaczepiałeś...

Frank Brady nie dokończył groźby, ale w tamtych czasach był człowiekiem, z którym należało się liczyć i który nie rzucał słów na wiatr. Dlatego Lucas posłuchał jego sugestii i wyjechał z Darrensbergu. Sama rozmowa być może nie miałyby takiego znaczenia, gdyby Lucas nie był pewien, że Francesca poprosiła ojca o interwencję. Bo skąd Brady wiedziałby o ich pocałunku? Lucas dobrze się rozejrzał, czy nikt ich nie podgląda z któregoś okna. Francesca musiała poskarżyć się ojcu i prosić o interwencję. Nie przypuszczał, że jest taką grzeczną córeczką tatusia.

Wyjechał z miasta dwa tygodnie później, zdając sobie sprawę, że nic - ani nikt - go tu nie trzyma.

Minęło piętnaście długich lat, pełnych dramatycznych wydarzeń, ciężkiej pracy i godzenia się z rzeczywistością. Po kilku miesiącach Lucas nie myślał już zbyt często o Francesce. Gdy znów ją po tylu latach zobaczył, do głosu doszły rozczarowanie, gniew i pożądanie, co w sumie wyraziło się niechęcią. Księżniczka Francesca, córeczka tatusia, nic się nie zmieniła.

Jednakże jej nie udawane zakłopotanie i autentyczna chęć współpracy na płaszczyźnie zawodowej przełamała jego upór i uprzedzenie. Zwłaszcza że pożądanie, które odczuwał przed piętnastoma laty, stało się jeszcze silniejsze. Lucas zacisnął pięści. Francesca się zmieniła. Jeśli jest jeszcze szansa, by ją zdobyć, musi z niej skorzystać.

Nie mogła spać, choć tej nocy wyjątkowo jej zależało na porządnym wypoczynku. Następnego dnia siostra Dixie, Dora, zaczynała pracę jako nowa recepcjonistka i sekretarka, a pani Mayberry bohatercko postanowiła wprowadzić ją w obowiązki. Francesca wiedziała, że czeka ją ciężki dzień i tym bardziej denerwowało ją to, że nie może zasnąć.

Tymczasem wszystko wyśmienie się udało i Francesca zrozumiała, że znalazła prawdziwy skarb, gdy Dora Sullivan, z domu Andrews, już po trzech minutach powiedziała z pełnym przekonaniem do pani Mayberry:

- Czy pani sama wyszywała tę bluzkę? Jest wprost przepiękna.

Francesca zrozumiała, że powinna była inaczej traktować panią Mayberry, ale skoro znała ją od tylu lat, trudno jej było spojrzeć na starą recepcjonistkę innymi oczami. Ta świadomość pozwoliła jej w miarę cierpliwie wytrzymać całodzienną obecność i pouczenia pani Mayberry pod adresem Dory. Betty nakazała również Dorze kierować pacjentów, w zależności od płci, do niebieskiego i różowego pokoju.

Dzień miał także swoje przyjemne momenty. Lauren Gioco oczekiwała pierwszego dziecka i, choć zdążyła zostać pacjentką starego doktora Brady'ego, a później Stecka, to właśnie Francesca miała przyjąć poród - pierwszy, nie licząc Caron Baron - na oddziale położniczym szpitala w Wayans Falls.

Sędziwi państwo Craig, którzy byli pacjentami ojca od początku jego pracy w Darrensbergu, przyszli razem na badania kontrolne.

- Od jak dawna są państwo małżeństwem? - spytała Francesca.

Spojrzeni na siebie, uśmiechnęli się i odrzekli jednocześnie:

- Sześćdziesiąt jeden lat.

- Mój Boże, chyba pobraliście się w przedszkolu. - Francesca zerknęła na ich karty. - Ojej, oboje państwo przekroczyli już osiemdziesiąt lat?

- Tak. Kiedy się poznaliśmy, ja miałam czternaście lat, a mój mąż siedemnaście - powiedziała Opal Craig. - Od tej pory nikt się dla mnie nie liczył, choć George na pewno latał za innymi dziewczynami, bo dopiero siedem lat później zaprosił mnie na randkę.

- I już po tygodniu ci się oświadczyłem, więc chyba nie możesz narzekać, co? - odparował z szerokim uśmiechem George Craig.

Po całym dniu pracy, nieco dłuższym niż zwykle, bo Dora musiała się nauczyć czynności kończących dzień przyjąć, Francesca pojechała do Ulmstown - malowniczej wioski nad jeziorem, gdzie były liczne sklepy ze starociami, otwarte w lecie do późna.

W trzecim z kolei sklepie znalazła to, czego szukała na prezent dla pani Mayberry: duży przybornik do szycia z palisandru, w bardzo dobrym stanie, z inkrustacjami z jasnego drewna i macicy perłowej. Szkatułka nie była tania, lecz Betty Mayberry zasłużyła na taki prezent.

Francesca tak była z siebie zadowolona i tak ostrożnie niosła pudełko z samochodu do domu, że spostrzegła Lucasa na ogrodowej huśtawce dopiero wtedy, kiedy stanęła tuż przy nim. Z wrażenia omal nie upuściła cennego pre-

zentu, zanim udało jej się postawić go na ziemi pod drzewem, na którym wisiała huśtawka.

- Dostałem wczoraj twój list.
- Przepraszam cię za...
- Wiem. Wszystko napisałaś.

Słowa nie miały większego znaczenia, bo w tym momencie Francesca znalazła się w ramionach Lucasa.

- Czy możemy wejść do środka? - wyszeptał po paru minutach.

- Tak.
- Na górę?
- Tak.

- Który pokój? - spytał, prowadząc ją do środka.

- Mój. Nie! - Łóżko jest za małe. - Pokój gościnny.

Dawny pokój Chrisa.

- Zaczekaj, Chess - powiedział już w sypialni. - Chciałbym ci się najpierw przyjrzeć. - Ujął jej twarz w dłonie. - Nie musimy się spieszyć. Mamy przed sobą całą noc.

- Cześć! - powiedział Lucas.

- Cześć. Nie chciałam.

- Czego?

- Zasnąć:

- Przez moment myślałem, że chodzi ci o to, co robiliśmy, zanim zasnęliśmy.

- Ach, nie. Tamtego nie żałuję.

- Jesteś głodna?

- Tak. I czuję zapach... Byłeś na dole?

- Chcesz wiedzieć, czy byłem na dole nago? Zachoc-

dzące słońce odbija się w oknach kuchni i miejscowi podglądacze mieliby duże trudności, żeby cokolwiek zobaczyć. - Podał jej tacę, na której stało danie podgrzane w kuchence mikrofalowej. - Chyba w tym się specjalizujesz.

- Niedługo zacznę gotować, Czasem już to robię.
- Muszę przyznać, że takie gotowe dania też się przydają. Znalazłem także wino.

Powoli nadciągał zmierzch i Lucas zapalił lampę przy łóżku, która rzucała długie cienie na pościel. Dla Franceski było coś szalenie erotycznego w tym, że je kolację w łóżku, w towarzystwie swego kochanka, swej nowej miłości, człowieka, który nadal patrzy na nią z pożądaniem. Lucas istotnie nie spuszczał z niej oczu; obserwował uważnie każdy jej ruch, gdy siadała, gdy jadła, gdy sięgała po kieliszek z winem. Sam pił bardzo oszczędnie, co było dość dziwne, zważywszy, że w młodości miał opinię człowieka nadużywającego alkoholu.

Gdy skończyli jeść, znów się kochali, tym razem nie tak gwałtownie, znajdując czas na żarty i czułe słówka.

- Ubierz się - poprosił godzinę później.
- Dlaczego?
- Chcę ci coś pokazać.
- Co?
- Zobaczysz. Włóż coś wygodnego. Legginsy i koszulkę. Zaraz wracam.

Lucas był już ubrany, choć nie miał jeszcze na sobie butów ani nie zapiął guzików koszuli. Francesca pozbierała porozrzucone części garderoby i wróciła do swego pokoju,

gdzie wyciągnęła z szafy starą białą koszulkę z bawełny i granatowe legginsy. Zapomniała o staniku i nie przejmowała się tym, że koszulka jest stanowczo za ciasna.

Gdy po paru minutach Lucas wrócił, był od stóp do głów ubrany na czarno; miał na sobie grubą skórzaną kurtkę, skórzane spodnie zapinane po bokach i skórzane sznurowane buty. Wręczył Francesce wielką torbę.

- To dla ciebie.

- Co...?

- Przejedziemy się motocyklem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nigdy nie jechałam motocyklem.

- Tak myślałam. Jeśli ci się to spodoba, to i mnie będzie przyjemnie. Te spodnie' zapinają się z boku, tak jak moje. Kurtka pewno będzie za duża.

- Skóra jest obowiązkowa?

- Skóra jest obowiązkowa. Inaczej nie czuję się bezpiecznie.

- Motocykl nigdy nie jest bezpieczny.

- Wiem, Chess, ale życie musi *być* choć odrobinę niebezpieczne, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się niepewnie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. W końcu wszystko zależy od tego, o jakiego rodzaju niebezpieczeństwo chodzi.

- Jeżdżę dużo ostrożniej niż kiedyś - dodał.

- Ale nie bądź zbyt ostrożny. Zawsze mi się podobał twój niebezpieczny sposób życia.

Lucas znów obrzucił ją badawczym spojrzeniem. W tym stroju wyglądał tak znakomicie, że Francesca poczuła oszołomienie. Mimo wszystko zaczęła się ubierać.

- Kaski są na dole. O, właśnie, zostawiłaś na dworze jakąś paczkę. Przyniosłem ją.

Francesca zupełnie zapomniała o prezencie dla pani Mayberry i teraz roześmiała się z zakłopotaniem.

- Na szczęście nie mieszkamy w Nowym Jorku - powiedziała.

- Chodźmy już - ponaglił ją Lucas.

- Nie wiedziałam, że masz jeszcze harleya, Lucas. Aż do wczoraj.

- Do wczoraj?

- Widziałam, jak przejeżdżałeś.

- Czasem muszę się przejechać, zwłaszcza w taki wieczór jak ten.

Francesca czuła, że ta przejażdżka jest również częścią podarunku, jaki Lucas czyni jej z siebie, że motocykl jest nadal ważnym elementem jego życia. Uważnie wysłuchiwała instrukcji dotyczących kasku, ustawienia nóg na podnóżkach, odpowiedniego przechylania się podczas jazdy.

Był ładny, ciepły wieczór. Pęd powietrza chłodził odkrytą szyję Franceski, gdy siedziała bezpiecznie za szerokimi plecami Lucasa, trzymając go w pasie, tak jak przykazał. Za miastem wjechali na porośnięty lasami teren, gdzie zbudowane nad jeziorem drewniane domy o wyszukanej architekturze kontrastowały z nędznymi chałupami i przyczepami stojącymi przy bocznych drogach. Francesca pomyślała nagle, że wycieczka z Lucasem ma jakiś głębszy cel. Pokonali jeszcze kilka ostrych zakrętów, kilka krzyżujących się zwirowych dróg, i wreszcie wąską, krętą ścieżką dotarli do skalistego występu na poboczu góry, pokrytego sosnowymi igłami.

Lucas zatrzymał się i zdjął kask. Francesca poszła w jego ślady.

- Kiedyś znałem tu każdą dróżkę. I nie jeździłem tak bezpiecznie jak teraz, w dodatku często bez kasku. Naprawdę byłem trochę szalony.

- Zmieniłeś się po pracy w pogotowiu, prawda? - spytała.

- Prawda. Przedtem myślałem, że jestem nieśmiertelny. Pewnego wieczoru przyjechałem tutaj. Zaraz za zakrętem. .. Zresztą, sama zobaczysz. Tu mieszkają Baronowie. Sharon już się wyprowadziła, a pani Baron umarła rok czy dwa lata temu. Został stary Baron i reszta dzieci. Najmłodsza, Tilly, miała wtedy siedemnaście lat.

- Tilly?

- Pastille. Znałem ją z barów, gdzie... no, wpadałem. Była ładna, choć nie w moim typie. No i nie cieszyła się najlepszą opinią. Tamtego wieczoru przejeżdżałem tędy, jak zwykle za szybko, kiedy zobaczyłem coś na drodze. To była Tilly, która na czworakach usiłowała dotrzeć do następnego domostwa pół kilometra dalej.

- Och, mój Boże!

- Miała krwotok. Chciała się pozbyć ciąży, ale było za późno, a osoba, która jej w tym pomagała nie miała o niczym pojęcia. Nie wiem, kto to był. Ojciec Tilly spał, a Caron zabrała Daroną w odwiedzinach do znajomych. Baronowie do dziś nie mają telefonu. Nie miałem pojęcia, co robić. Wtedy nie myślałem jeszcze o studiowaniu medycyny i nie potrafiłem udzielić pierwszej pomocy. Podniosłem ją, usadziłem przed sobą na motocyklu i zawiozłem do jej przyczepy. Tam położyłem ją na łóżku,

dałem pić i pojechałem po ojca. Jeszcze nigdy tak nie pędziłem.

Ojciec zadzwonił po karetkę, ale mieli dużo wezwań i przyjechała dopiero po godzinie. Tymczasem pojechałem razem z ojcem do domu Baronów. Pierwszy i ostatni raz w życiu jechał moim motocyklem. Przyjechaliśmy za późno i nic się już nie dało zrobić. W środku tego wszystkiego zjawiła się Sharon i zaczęła krzyczeć, że zabiliśmy jej siostrę.

- Ona nadal w to wierzy.

- Wiem, i nie docierają do niej żadne argumenty. Ale Caron rozumie. One nigdy się z sobą nie zgadzały.

- Nie musiałeś mnie tu przywozić. Napisałam przecież, że ci wierzę.

- Wiem. I zdaję sobie sprawę, że nie łatwo ci było to napisać. Nie chciałem ci mówić o roli twojego ojca w tej sprawie, nie chciałem zakłócać twojego spokoju...

- Przestań!

Objęła Lucasa i przytuliła policzek do jego twarzy. Nadal żadne z nich nie zsiadło z motocykla. To było dziwne miejsce na poważną rozmowę, choć w pewnym sensie może i najwłaściwsze.

- Czy dzisiaj wieczorem nie przekonałeś się, że nie jestem już piętnastoletnią panienką z dobrego domu, która nie ma pojęcia o życiu? W ciągu ostatnich kilku dni musiałam przyjąć do wiadomości parę nieprzyjemnych faktów na temat moich rodziców, ale, na litość boską, mam trzydzieści lat i jestem niezależną kobietą. Bardzo cię proszę, żebyś o tym nie zapominał.

- Dobrze. Dziś, muszę przyznać, byłaś bardzo przekonująca.

Roześmiali się i pocałowali.

- Mówię serio, Lucas. Odziedziczyłeś praktykę, na której ciąży zła opinia, ale moja sytuacja też nie jest łatwa. Nawet teraz ojciec, mimo że jest chory, chce, żebym odnosiła sukcesy na jego warunkach. Zamierza tu przyjeżdżać i sprawdzać, czy robię wszystko tak jak trzeba. Kwestionuje wszelkie zmiany. I będę musiała z tym walczyć, tak jak ty walczysz z fałszywymi opowieściami na temat tamtej nocy, i wszystkimi innymi, które powstały później.

- Szkoda, że nie mam twoich problemów...

- Nie mówię tego po to, żeby się kłócić, kto ma gorzej. Chcę ci tylko uświadomić, że oboje mamy swoje problemy i trudności, z którymi musimy sobie radzić.

- Myślisz, że nam się uda, Chess? - spytał i nie wiadomo było, czy pyta tylko o pracę.

- Mam nadzieję - odparła równie enigmatycznie.

- Myślałem, że odwiedzimy Caron i jej synka, skoro już tu jesteśmy - powiedział po chwili.

- Chętnie.

Włożyli kaski i Francesca mocno chwyciła Lucasa w pasie. Nagle zdała sobie sprawę, że musi już być bardzo późno. Dziesiąta? Co najmniej. Gdy powiedziała o tym Lucasowi, ten ją uspokoił.

- Nie martw się, to nocne marki.

Po paru minutach zatrzymał motocykl przed wąską, odrapaną, krzywo ustawioną przyczepą. Powiesili kaski na kierownicy.

- W środku jest lepiej - oznajmił Lucas.

Drzwi otworzył im chudy, ogorzały mężczyzna koło pięćdziesiątki. Na powitanie klepnął Lucasa w plecy.

- Cześć, doktoru - powiedział.

- Cześć, Jim. Byliśmy w sąsiedztwie i pomyślałem, że wpadniemy.

- W sąsiedztwie! A to dobre! Tu nie ma żadnego sąsiedztwa - powiedział drugi mężczyzna, dużo młodszy, z sympatyczną, choć płaską twarzą. Francesca odgadła, iż musi to być Daron, lekko upośledzony brat Caron.

Weszli do środka. Wnętrze było czyste i posprzątane, choć meble pamiętały lepsze czasy. Honorowe miejsce na środku przyczepy zajmował wielki telewizor. Caron uśmiechnęła się szeroko na ich widok. Siedziała na starym, plastikowym krześle ogrodowym i karmiła dziecko z butelki.

- Nie bardzo mi szło karmienie piersią, doktorze - powiedziała szybko. - Nie wiedziałam, czy nie jest głodny, więc po tygodniu przeszłam na butelkę i mały szybko się przyzwyczył.

- Karmienie piersią nie wszystkim odpowiada - stwierdził spokojnie Lucas. - Pani syn wygląda wspaniale, Caron. Cięcie dobrze się goi?

- Ciągłe mnie boli, kiedy coś podnoszę. Wolałabym, żeby Norad nie rósł za szybko. Ale, ale, to jest...?

- Tak, doktor Brady.

- Obawiam się, że to bolesne miejsce to moja wina - rzekła Francesca, przekrzykując dźwięki płynące z telewizora.

Daron znów się roześmiał, lecz niemal natychmiast się skrzywił i podtrzymał prawą dłońią lewą rękę owiniętą grubym bandażem.

- Co ci się stało? - spytał Lucas.

- Skaleczył się w kuchni, prawda, Dar? - odparła szybko Caron. - Jak otwierał puszkę. Mówiłam ci, żebyś uważał, prawda, Dar?

- Tak, mówiłaś, żebyś uważał - powtórzył posłusznie jej brat. Miał jakieś trzydzieści parę lat; był chyba trochę starszy od Lucasa.

- Gruby bandaż - zauważył Lucas.

- On tak lubi - wtrącił Jim.

- Myśli, że rana szybciej się zagoi - dodała Caron.

- Twoja rana się goi - powiedział Daron.

- Może ją obejrzę? - zaproponował Lucas.

Zapadła chwila ciszy.

- Moją ranę? - spytała Caron. - Jasne. I niech pan zobaczy dzieciaka, dobrze? Ile się będzie należało?

- Nic, wpadliśmy towarzysko - uspokoił ją Lucas.

Daron znów się roześmiał, ale Francesca widziała, że ręka bardzo go boli i zdziwiła się jego powściągliwością. Spodziewała się raczej dziecinnej skargi, zwłaszcza jeśli rana była świeża i pulsująca. Z drugiej strony bandaż nie wyglądał zbyt świeżo...

Cięcie Caron goiło się prawidłowo, dziecko było zdrowe i zadowolone. Kiedy skończyło jeść, Lucas sprawdził, jak się goi pępek i ranka po obrzezaniu. Okazało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

- To śliczny chłopak - powiedział szczerze Lucas. - I świetnie o niego dbasz.

Caron uśmiechnęła się z zadowoleniem, ale Francesca dostrzegła, że kobieta myślami jest gdzie indziej. Daron siedział przygnębiony, nie patrząc na telewizję ani nie zwracając uwagi na żarty Lucasa.

- Daj mi jeszcze jedną tabletkę, Caron - jęknął po chwili.

Siostra zmarszczyła brwi.

- Dostaniesz trochę później, dobrze?

- Ale mnie boli teraz!

- Jest strasznie niewytrzymały na ból - wyjaśniła Caron Lucasowi. - I nie może patrzeć na krew, prawda, Daron? Nawet na kropelkę krwi.

- Z mojej ręki leciało strasznie dużo krwi - wyjaśnił Daron.

- Nie będziemy teraz o tym opowiadać. Państwo chcą wracać do domu, zrobiło się późno - stwierdziła Caron, wstając z wysiłkiem. - Tylko my możemy siedzieć całą noc przed telewizorem - dodała z wymuszonym uśmiechem.

Francesca i Lucas zdali sobie sprawę, że gospodarze chcieliby już zostać sami. Szybko pożegnali się i wyszli.

- Mamy przed sobą wspaniałą drogę - powiedział Lucas. - Cały czas w dół i mnóstwo zakrętów. Ale to za chwilę - dodał, marszcząc czoło. - Z ręką Daroną jest coś nie w porządku i nie mam zamiaru tak tego zostawić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Hào! - zawołał Lucas, stukając energicznie w drzwi przyczepy.

- Chwileczkę - odparła Caron. - Zapomniał pan czegoś?

- Może. Proszę otworzyć.

- Za minutkę, doktorze, dobrze? - odezwał się Jim.

Lucas nie zamierzał czekać ani minutki. Otworzył drzwi i wszedł do środka razem z Francesca. Caron uspokajała płaczącego Daroną, odwijając z jego ręki brudny bandaż.

- Co jest? - warknął Jim.

- O co tu chodzi, ludzie? - spytał Lucas wprost. - Co się naprawdę stało Daronowi?

W tym momencie Caron skończyła swe zajęcie i Francesca aż syknęła na widok ręki Daroną. Przedramię było spuchnięte, czerwone, ze śladami zaschniętej krwi, poznaczone drobnymi rankami.

- Co tam, do cholery, postrzelił się - przyznał Jim.

- Polował na dzikie indyki - dodała Caron - więc bałiśmy się go wieźć do szpitala w Wayans Fałs, żeby ktoś nie zawiadomił policji.

Francesca i Lucas wiedzieli, że o tej porze roku nie wolno polować na indyki.

- Ta rana kiepsko wygląda - powiedział Lucas.
- Myśleliśmy, żeby rano pojechać do szpitala, jak by nie było nic lepiej - odparł Jim. - Zawiadomi pan policję, co?
- I trafił w tego indyka? - spytał Lucas.
- Nie, trafiłem w siebie - mruknął Daron.
- No to nie ma sprawy...
- Ale...
- Cicho, Daron! - zawołała siostra.
- Niczego nie słyszałem - rzekł szybko Lucas. - A ty?
- zwrócił się do Franceski.
- Ja też nie - zapewniła go.
- Jeśli jednak dowiem się o jakimś polowaniu na dzikie indyki w tej okolicy... - Lucas zawiesił głos, po czym dodał: - Tak się składa, że jestem w dobrych stosunkach z oficerem McTierneyem.
- Dobrze, panie doktorze.
- Poza tym, Daron nie powinien więcej brać strzelby do ręki.
- On tak to lubi - powiedziała Caron.
- Już nie - zaprotestował z płaczem brat. - Już nie lubię.
- Wiesz co,- Daron? - zwrócił się do niego Lucas. - Nie chcę czekać do jutra z tą twoją ręką. Bardzo cię boli, prawda? I brzydko wygląda.
- Boli - przyznał Daron.
- Daliśmy mu tabletkę przeciwbólową - oznajmiła Caron. - Chyba przestała działać.
- Przywieź go do przychodni, Jim - poprosił Lucas.
- Spotkamy się tam za chwilę, dobrze?

- Zostaniesz tu sama z dzieckiem, Caron? - spytał Jim z troską w głosie.

- Aha. Zaśniemy sobie przed telewizorem, co, mały?

- Do zobaczenia - powiedział Lucas.

- Czy mam mu założyć bandaż? - spytał Jim.

- Nie - odparł Lucas i wyszedł.

Francesca aż wzdrygnęła się na myśl o brudnym bandażu. Nie była pewna, czy Lucas ma wszystkie potrzebne instrumenty i leki. I czy zechce, by mu pomogła. Po wspólnie spędzonym wieczorze nie chciała wracać do pustego domu, ale Daron był pacjentem Lucasa.

Problem wyjaśnił się szybko.

- Przydałaby mi się twoja pomoc, jeśli nie masz nic przeciwko temu - odezwał się Lucas, gdy wsiadali na motocykl.

- Chętnie to zrobię - odparła, nie dając po sobie poznać, ile znaczą dla niej te słowa. - To także moja sprawa.

Droga powrotna nie trwała długo. Mieli dość czasu, by przed przyjazdem Jima i Darona wszystko przygotować.

- Jeśli się okaże, że nie damy rady... - zaczęła Francesca. - Jeśli śrut utkwiał zbyt blisko żyły...

Odgłos grzmotu nadał jej słowom złowróżbnego znaczenia.

- Trzeba będzie zawieźć go do Wayans Falls. Wolałbym tego uniknąć. Jim i Caron postraszyli go policją, poza tym Daron nie lubi być wśród obcych. Poradzimy sobie.

I tak się stało, choć zabrało im to trochę czasu. Spyтали Jima, czy chce zostać razem z Daronem, ale on roześmiał się ponuro i potrząsnął głową.

- Nic tu po mnie - oznajmił i wycofał się do poczekalni.

Daron popłakiwał i kulił się ze strachu, gdy myli mu rękę środkiem odkażającym, aby jak najdokładniej wyczyścić powierzchowne skaleczenia. Francesca obawiała się, jak zareaguje na widok strzykawki. Po zrobieniu prześwietlenia starym, lecz wciąż sprawnym aparatem, okazało się, że można będzie bez komplikacji usunąć dwa odłamki przy miejscowym znieczuleniu. Za każdym razem, gdy Lucas zbliżał się do niego z zastrzykiem, Daron ze strachem odsuwał rękę.

- Nie patrz na to, Daron - poradziła mu Francesca.
- Porozmawiajmy sobie o czymś innym.

Jednakże jej wysiłki spełzły na niczym; Daron był coraz bardziej zdenerwowany i roztrzęsiony.

- Użyję chlorku etylowego - zdecydował Lucas. - Popsikam ci na rękę i nawet nie poczujesz ukłucia igły - wyjaśnił Daronowi.

To wreszcie poskutkowało, nadal jednak musieli zabawiać Darona różnymi historyjkami, ponieważ wyjęcie dwóch głęboko tkwiących odprysków nie było łatwe, zwłaszcza że Lucas dysponował dość ograniczonym zestawem narzędzi chirurgicznych.

Francesca, przyglądając się jego ruchom, doszła do wniosku, iż nawet brak specjalistycznego sprzętu nie ma znaczenia, gdyż Lucas działał delikatnie i sprawnie.

Kiedy Daron mógł wreszcie wrócić do domu, było już dobrze po północy. W międzyczasie Jim zasnął w poczekalni. Gdy go obudzili, Lucas poinstruował go, jak należy podawać Daronowi antybiotyki i środki przeciwbólowe.

Poprosił też, by go natychmiast zawiadomić, jeśli wystąpi obrzęk lub gorączka. Potem nakazał mu przyjechać na kontrolę po dwóch dniach.

Parę minut później stary, zdezelowany samochód Jima zniknął w ciemnościach i Lucas zamknął na klucz boczne drzwi.

- Odprowadzę cię do domu, Chess - powiedział.

- Nie musisz.

- Ale chcę. Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś została w moim łóżku, lepiej jednak, żeby jutro rano pani Mayberry zastała cię we własnym domu. Masz swój pager?

- Tak, i mam nadzieję, że nie zawiedzie. Moja pierwsza ciężarna ma rodzić lada dzień.

Wychodząc usłyszeli pomruki burzy, tym razem znacznie bliżej. Lucas wziął Francescę za rękę.

- Pospieszmy się, bo zmokniemy. Zrobiło się chłodno.

Jednakże w tej samej chwili lunął deszcz. Lucas wciągnął na lekarski strój skórzane spodnie, lecz reszta ubrania przemokła natychmiast. Kiedy dobiegli do domu Francesco, z ich włosów i ubrań lała się woda.

- Cześć! Wracam do domu - powiedział Lucas, stojąc na werandzie.

- Nie! - zawołała Francesca, chwytając go za ramię.

- Nie?

- Proszę, nie idź. Przynajmniej wejdź do środka i się wytrzyj albo weź mój parasol.

- Tylko tyle?

- Wszystko zależy od ciebie...

- Ja chciałbym czegoś więcej...

- Ja też.

Przekręciła klucz w zamku zdrętwiałymi palcami i wpadli do holu. Od razu pomyślała o kominku w gabinecie ojca, gdzie zawsze leżało drewno. Noce w tej okolicy bywały zimne nawet latem. Znalazła zapałki i podłożyła ogień, zapalając po drodze małą lampkę w stylu Tiffany'ego, która oświetlała tylko niewielki kawałek biurka.

- Co robisz, Chess? - Lucas wszedł za nią do gabinetu i przyglądał się pełzającym płomykom.

- Nie jest ci zimno?

- Nie, ale cieszę się, że rozпалиłaś ogień, bo na myśl, że miałbym cię rozbierać...

Sięgnął po jej mokrą bluzkę i podciągnął ją do góry.

- Tam na werandzie ta mokra bluzka była całkiem przezroczysta - szepnął. - Gdybyś mnie odesłała, to bym chyba zwariował. Udawałem, że chcę wracać...

- Prawie ci uwierzyłam.

Zadrzała, kiedy rozchylił poły bluzki i zaczął głaskać jej skórę. Po chwili zdjęli z siebie ubranie i położyli się na grubym, miękkim dywanie przed kominkiem, tracąc poczucie czasu i rzeczywistości. Godzinę później obudził ich brzęczyk i przez moment Francesca nie mogła zidentyfikować źródła dźwięku.

- To twój pager - powiedział Lucas.

Francesca wyciągnęła urządzenie z kieszeni leżących obok spodni, jednakże ekran pagera był ciemny.

- Proszę, proszę - mruknął Lucas. - To mój pager. Kto by pomyślał!

W jego głosie, po raz pierwszy podczas całego wieczoru, zabrzmiał zgryźliwy ton i Francesca trochę się zanie-

pokoila. Znów zrobiło jej się zimno i przysunęła się do kominka, ale ogień prawie już zgasł.

- Na biurku jest telefon - powiedziała.

Lucas skinął głową, wykręcił numer operatora, zadał kilka zwięzłych pytań i wykręcił kolejny numer.

- Tom? Mówi Lucas. Od kiedy ma skurcze?

Francesca nie traciła czasu. Bezszelestnie wyszła z pokoju i poszła na górę do sypialni. Prędko włożyła suchą bieliznę, bawełnianą koszulkę, niebieski sweter z angory i wełniane spodnie. Później znalazła jakąś starą koszulę ojca i jego sweter, i zeszła na dół.

- Proszę - rzekła, podając Lucasowi ubranie. - To chyba coś pilnego?

- Dziękuję. Tak. Jackie, żona mojego przyjaciela Toma, chyba zaczęła rodzić, choć termin wyznaczono dopiero za sześć tygodni.

- Bliźnięta?

- Tak. Uprzedzałem ją, na co powinna uważać, ale nie kazałem jej leżeć.

Zmarszczył brwi, jakby nagle zwątpił w siebie. Francesca przygryzła wargi, nie wiedząc, czy powinna się wtrącać. Niektórzy lekarze sądzą, że kobieta spodziewająca się bliźniąt powinna cały czas leżeć, inni nie uważają tego za konieczność.

- Jadę do nich - dodał. - Może uda mi się powstrzymać poród. Jeśli nie, wezwę karetkę do przewozu wcześniaków. Nie chcę, żeby Tom wioził ją samochodem w taką pogodę. On niezbyt sobie radzi w kryzysowych sytuacjach. Kiedy Jackie rodziła córkę, wjechał samochodem do rowu. Do dziś opowiada tę historię jak najlepszy kawał, niemniej...

- Lucas...

- Podwieziesz mnie do domu? Ten deszcz...

- Nie musisz jechać do domu. Pojedźmy tam razem. Mam tu wszystko, co może być potrzebne. W ten sposób nie będziemy tracić czasu. Jestem przygotowana na porody domowe, bo wszystko może się zdarzyć.

- Wiem zwłaszcza w zimie, jeśli drogi nie są odśnieżone. Dobrze, jedźmy razem.

Sama jazda nie trwałaby dłużej niż pięć minut, lecz musieli najpierw spakować potrzebne rzeczy, a potem przejechać przez zalane deszczem ulice. Kiedy dotarli do domu Toma i Jackie Baileyów, nic już nie mogło powstrzymać porodu.

- Wezwij natychmiast karetkę, Tom - polecił Lucas przyjacielowi, który nadal zajmował się „naprawianiem motocykli” i był właścicielem doskonale prosperującego warsztatu samochodowego i stacji benzynowej w Darrensbergu.

- Jackie... Dzieci... - wyjąkał drżącym głosem Tom, blady i zdenerwowany.

- Wszystko będzie dobrze, ale musimy od razu przewieźć dzieci do szpitala karetką z inkubatorami. Poczekaj, sam zadzwonię. Francesca?

- Przygotuję narzędzia.

- Abby śpi? - spytał Lucas.

- Tak - odparł Tom. - To niewiarygodne, ale nic jej nie obudziło. Nawet burza.

- Bądź przy Jackie. Doktor Brady i ja zajmiemy się resztą.

Tom rzucił szybkie spojrzenie na Francescę.

- To jest doktor Brady?
- Trochę się zmieniła, co? - Lucas puścił do niego oko.
- Nie o to mi chodzi. Myślałem, że skaczeć sobie do gardła.., Boże, to przecież teraz jest zupełnie nieważne.

Lucas zadzwonił do szpitala w Wayans Falls, Francesca tymczasem poszła do łazienki, dokładnie umyła ręce i wróciła do pokoju, by zbadać pacjentkę. Skurcze były coraz częstsze.

- Jest duże rozwarcie - stwierdziła - prawie osiem centymetrów. Ależ ci chłopcy się spieszą na świat.

Jackie Bailey uśmiechnęła się blado. Francesce przypomniało się, że chodziły do tej samej szkoły. Jackie była wówczas ładną, pewną siebie dziewczyną, do której Francesca nie odważyła się odezwać. Teraz role się odwróciły.

- Czy wszystko będzie dobrze, pani doktor? - dopytywała się Jackie. - Gdzie jest Lucas? Czy dzieci przeżyją?

- Na pewno - zapewniła ją Francesca, zaciskając kciuki. - Teraz posłucham ich specjalnym stetoskopem, a potem zajmie się panią Lucas. Niech pani odpoczywa i stara się powstrzymywać poród, żeby karetka zdążyła przyjechać, zanim się urodzą, dobrze?

- Powstrzymywać? jęknęła Jackie. - Pani żartuje, prawda?

- Nie, nie żartuję.

Serca obu chłopców były równo, ale częstotliwość i siła skurczów napełniała Francescę pewną obawą. Do czasu przyjazdu karetki dzieci były znacznie bezpieczniejsze w brzuchu matki.

Lucas podszedł do nich i mocno ścisnął ręce Jackie, po

czym rzucił pytające spojrzenie Francesce. Kiedy przedstawiła mu pokrótce sytuację, zmarszczył brwi.

- Za szybko ci to idzie - zwrócił się do Jackie. - Poród musi trwać dłużej.

- Okrutnie sobie ze mnie żartujesz.

- Twojej pani nie podobają się moje maniery, Tom.

- Twoje maniery nic mnie nie obchodzą. Postaraj się, żeby wszystko było w porządku, dobrze?

Przez następne dwadzieścia minut napięcie rosło z każdym skurczem. Bóle były coraz silniejsze i wreszcie Jackie wyjąkała:

- Czuję... Czuję, że...

Odwlekanie nie miało już sensu, zwłaszcza że teraz mogło to nawet zaszkodzić dzieciom. Lucas przygotował się do przyjęcia porodu, Francesca z boku czekała, gotowa w każdej chwili mu pomóc. Tom trzymał żonę za rękę, która parła z całej siły.

Główka pierwszego chłopca ukazała się w chwili, gdy rozległ się potężny grzmot i zawyła syrena karetki.

- Dzięki Bogu - westchnął Tom, a Francesca poparła w duchu jego słowa.

Na świat przyszedł pierwszy chłopiec - Alex. Od razu nabrał powietrza i zaczął głośno krzyczeć, gdy go na chwilę podano matce. Francesca odessała mu buzię i sprawdziła podstawowe odruchy, po czym położyła chłopca w inkubatorze, który pojawił się nagle pod ręką. Okazało się, że Lucas w pośpiechu nie zamknął za sobą drzwi.

- Dziecko jest w dobrej formie, Jackie - rzekła Francesca.

W tym momencie podszedł do niej Lucas.

- Z drugim jest gorzej - szepnął. - Ułożenie pośladkowe. Nigdy w życiu nie odbierałem takiego porodu. A ty?

- Raz - przyznała Francesca. - i parę razy się przyglądałam, ale... Nie powinno być większego problemu. Jest pełne rozwarcie, użyjemy kleszczy albo możesz...

- Ty możesz. Ustępuję ci miejsca.

- Naprawdę?

- Teraz ambicje są nieistotne - stwierdził zdecydowanie Lucas. - W tej dziedzinie ty jesteś ekspertem.

Francesca nie protestowała, zresztą zaufanie Lucasa bardzo jej zaimponowało. Wreszcie współpracują, a właśnie na tym jej zależało.

Teraz musiała się skupić na przyjęciu na świat drugiego dziecka. Na szczęście Jackie rozumiała sytuację i nie wpadła w histerię. Francesca wyczuła rękami ułożenie płodu i lekko odetchnęła. Przyjmowała już taki poród i jeśli nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, wszystko powinno być w porządku. Oby tylko nie trwało to zbyt długo.

- Udało się, Jackie! Gratuluję! - zawołała w końcu Francesca.

Lucas zajął się chłopcem, który po chwili również zaczął samodzielnie oddychać, choć był wyraźnie mniejszy od brata i ważył niecałe dwa kilogramy.

- Są tacy ładni - powiedziała z zachwytem Jackie. - Moi synowie. Abby zwariuje ze szczęścia. Rano będzie miała niespodziankę. Och, zapomniałam, że trzeba ich zawieźć do szpitala.

Sanitariusze włożyli już noworodki do inkubatorów, żeby przewieźć ich na obserwację na oddział położniczy.

Francesca nie miała wątpliwości, że ich pobyt w Wayans Falls nie potrwa długo.

- Ciebie też tu nie będzie, Jackie - poinformował ją Lucas.

- Czy naprawdę muszę jechać do szpitala? - spytała z żalem Jackie. - Przecież nic mi nie jest, prawda? Mógłbyś tu do mnie zajrzeć, a w szpitalu i tak nie zatrzymają mnie dłużej niż na dwadzieścia cztery godziny,

Lucas uznał, że Jackie może tymczasem zostać w domu i pojechać do szpitala po południu, a potem zamieszkać na jakiś czas w hotelu dla rodziców chorych dzieci.

Francesca zawiozła noworodki do szpitala, przekazała je personelowi oddziału położniczego i natychmiast wróciła taksówką do domu. Minęła szósta rano, było już jasno, w powietrzu wisiała lekka mgiełka. Francesca ziewnęła i głęboko odetchnęła rześkim powietrzem. Czuła się naprawdę szczęśliwa.

Oczywiście, nie miała czasu na odpoczynek - czekał ją normalny dzień pracy - jednakże tego ranka zmęczenie nie stanowiło problemu. Poczucie szczęścia dało jej siłę i energię do działania.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy oczy pani Mayberry wypełniły się łzami, Dixie i Dora uśmiechnęły się serdecznie.

- To na pewno kosztowało... - zaczęła starsza pani.
- Nieważne, ile kosztowało - przerwała jej Francesca.
- Zasłużyła pani na to. W środku jest jeszcze coś od ojca.

Francesca, Dixie i Dora żegnały panią Mayberry podczas lunchu w restauracji Gablesów. Palisandrowa szkatułka na przybory do szycia stała przed gościem honorowym, a siostry Andrews oglądały ją z podziwem. Potem Dixie wyjęła własny prezent - komplet płyt kompaktowych z nagraniami ulubionych musicali Betty.

Francesca ziewnęła, zasłaniając usta dłonią. Wcześniej opisała Dixie, Dorze i pani Mayberry dramatyczne wydarzenia z ostatniej nocy, nieco wyolbrzymiając rolę Lucasa i jego zasługi. Z niecierpliwością czekała teraz na zakończenie lunchu. Wraz z odejściem pani Mayberry zaczynała nowe życie. To samo zresztą dotyczy Lucasa. Na jej ustach pojawił się uśmiech zadowolenia.

Lunch trochę się przeciągnął i gdy wróciły lekko spóźnione do przychodni, zastały przy zamkniętych drzwiach dwie starsze pacjentki, które zastanawiały się na głos, czy nie powinny wrócić do domu. Kiedy jednak

dowiedziały się o przyczynie spóźnienia, ich irytacja minęła. Obie kobiety od dawna leczyły się w tej przychodni i dobrze znały Betty Mayberry.

Kiedy późnym popołudniem Dixie i Dora wyszły, pani Mayberry - po raz ostatni - zamknęła przychodnię i pożegnała Francescę ze łzami w oczach. Francesca, wreszcie sama i wolna, przeszła do kuchni, żeby wziąć sobie coś zimnego do picia. Przy tylnym wejściu kręcił się Lucas. Otworzyła mu drzwi z bijącym sercem.

- Nie wiem, czy to wizyta zawodowa czy towarzyska - mruknął. - Chciałem ci podziękować za pomoc...

Francesca przyglądała mu się z niekłamaną przyjemnością. Poprzedniego dnia kochali się trzy razy, a teraz oboje czuli się onieśmieleni, zakłopotani i niepewni. W świetle dnia wszystko wyglądało inaczej niż wieczorem.

- Powiedzmy, że zawodowa i towarzyska - zaproponowała Francesca.

-, Jasne, czemu nie, tylko od czego zacząć?

- A co potrwa dłużej?

- Mam nadzieję, że wizyta towarzyska.

Oboje roześmiali się i napięcie minęło.

- Nie chciałabyś się przejechać?

- Motocyklem?

- Nie. Na motocyklu nie mogę na ciebie patrzeć ani z tobą rozmawiać.

- Za to ja mogę cię dotykać - rzekła rozmarzonym tonem.

- Tego się właśnie obawiam. W końcu spowoduję wypadek.

- No to niech będzie samochód.

- Weź kostium, jeśli chcesz popływać. Ręczniki mam w bagażniku.

Francesca wyjrzała na dwór. Samochód Lucasa stał za jej garażem, wzięła więc kostium, telefon komórkowy i pager, zamknęła dom i wkrótce byli już nad niewielkim, prywatnym jeziorkiem, gdzie przyjaciel Lucasa miał domek letniskowy. Okna wychodziły na wodę i wąski pasek plaży. Plaża była pusta, więc od razu, nawet nie otwierając domku, pobiegli nad jezioro.

Nie odczuwając, jak wczoraj, potrzeby natychmiastowego fizycznego kontaktu, przebrali się w kostiumy i zanurzyli w ciepłej, czystej wodzie.

- Ładnie ci w różowym - stwierdził po dłuższym milczeniu Lucas.

- A tobie w czarnym.

Lucas świetnie pływał; teraz szybkim crawl'em dopłynął do drewnianego pomostu. Francesca płynęła za nim powoli. Po chwili Lucas podawał jej rękę, pomagając wejść na pomost. Położyli się na ciepłych, wygrzanych słońcem deskach.

- Jest coś nowego w sprawie bliźniaków? - spytała.

- Nie, wszystko w porządku. Przez najbliższe dni będą pod stałą kontrolą, ale jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, zostaną niedługo wypisani do domu. Jackie też się dobrze czuje. Po południu pojechali oboje do szpitala. Abby nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć braci.

- Bardzo się cieszę.

Francesca poczuła gwałtowną potrzebę bliskości. Usiadła i spojrzała na Lucasa zachęcająco, nie bardzo wiedząc, jak wyrazić swe pragnienie słowami. Lucas także usiadł i wyciągnął do niej rękę. Najpierw delikatnie scho-

wał jej za uszy mokre kosmyki, później przesunął palcami po szyi i ramionach. I dopiero wtedy ją pocałował. Francesca zamknęła oczy, poddając się pieszczotom Lucasa i ciepłych promieni słońca.

- Chciałbym zdjąć z ciebie kostium, wejść z tobą do wody i tam cię objąć - mruknął Lucas. - Niestety, obawiam się, że nie poprzestałbym na tym. Czy nie będziesz miała mi za złe, jeśli zaproponuję, żebyśmy wracali? Do mnie?

- Dobrze - przytaknęła.

W środku, w prywatnej części jego domu, oddzielonej od przychodni, wszystko było tak, jak sobie wyobrażała. Ujrzała porządne, czyste, lekko zniszczone meble, a także drobiazgi mówiące o zamiłowaniu Lucasa do piękna, takie jak na przykład stara, ręcznie zszywana kapa na łóżko w przepiękny wzór. Nie miała okazji do długiego podziwiania tej narzuty, gdyż Lucas szybkim gestem odsunął ją na bok.

- Bardzo lubię z tobą zwyczajnie być i rozmawiać, a mimo wszystko nie mogę się doczekać łóżka - powiedział ze zdumieniem w głosie. - Ciekawe, dlaczego tak się dzieje?

- Zaraz się przekonamy - powiedziała szeptem.

Po chwili nic nie miało już znaczenia. Kochali się, zapomniawszy o bożym świecie. Francesca chętnie pozostałaby z nim na dłużej, jednakże Lucas wkrótce odwrócił się i sięgnął po stojący przy łóżku zegarek.

- Przez ciebie o wszystkim zapominam - mruknął. - Nawet o moich godzinach.

- O czym? - spytała sennym głosem, przeciągając się jak kotka.

Lucasa już przy niej nie było, usłyszała tylko szybkie kroki na schodach. O czym on mówił? O jakich godzinach? Francesca pospiesznie ubrała się i też zbiegła na dół. O co mu chodzi? Czy czeka na jakiegoś pacjenta? Postanowiła, że się przynajmniej pożegna i wróci do domu.

Lucas był w gabinecie. Nacisnęła klamkę drzwi łączących prywatną część domu z poczekalnią. Najwyraźniej był z kimś umówiony i Francesca, nie chcąc przeszkadzać, zamierzała tam na niego poczekać. Przez otwarte drzwi gabinetu niespodziewanie zobaczyła, jak Lucas wyciąga z ramienia igłę. Odruchowo wciągnęła głośno powietrze i Lucas podniósł głowę.

Wpatrywali się w siebie. „Widziałam, jak robił sobie zastrzyk”, mówiła pani Mayberry. Teraz i ona to ujrzała, choć ten widok wydał jej się absolutnie bezsensowny.

- Nie wierzysz mi, co? - odezwał się Lucas gniewnym, bezbarwnym głosem.

- Ależ tak.

- Nie. Widzę to w twojej twarzy.

- Powiedz mi prawdę - poprosiła.

- Nie jestem narkomanem, Chess. Choruję na cukrzycę i muszę sobie wstrzykiwać insulinę.

W tej samej chwili Francesca zobaczyła na biurku butelkę z insuliną. Lucas odwrócił się, by wyrzucić jednorazową strzykawkę; zaskrzypiała pokrywka od pojemnika na śmieci. Francesca przypomniała sobie ten dźwięk - słyszała go tego dnia, gdy po raz pierwszy przyszła go odwiedzić. To dlatego jadł kanapkę i pił sok tuż przed porodem Caron. Zastrzyk z insuliny bierze się bezpośrednio przed jedzeniem. Dlatego czasem mawiał: „Muszę coś

zjeść". Brała to za niecierpliwość. Wszystko nabrało teraz sensu, żałowała jedynie kilku sekund wątpliwości, które mogły wszystko między nimi zaprzepaścić.

Na twarzy Lucasa malowały się gorycz i rozczarowanie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - wybuchnęła.

- Miałem zamiar. Czekałem na odpowiedni moment.

- A ile czasu można czekać?

- Nie wszystkie kobiety dobrze to przyjmują. Mój ostatni związek rozpadł się z tego właśnie powodu.

- Ja potrafię przyjąć wiele.

Wzruszył ramionami, jakby nie miało to już większego znaczenia.

- Naprawdę, uwierz mi, proszę - nalegała. - Poza tym kontrolujesz swoją chorobę, prawda?

- Oczywiście. Daję sobie doskonale radę. Od wielu lat.

- Jestem lekarką. Nie boję się...

- W tej chwili nie o to chodzi - przerwał jej - i dobrze o tym wiesz. Gdybyś mogła zobaczyć swoją twarz sprzed paru minut! Od razu uwierzyłaś we wszystkie plotki. Lucas robi sobie zastrzyk, a więc jest narkomanem. Wszyscy to mówią. Chciałabyś wiedzieć, dlaczego nie poinformowałem całej okolicy o mojej chorobie? Po pierwsze - to wyłącznie moja sprawa. Po drugie - spowodowałoby to jeszcze większe zamieszanie. Niektórzy ludzie nie tolerują chorego lekarza. Oczywiście mam nadzieję, że prawda wyjdzie w końcu na jaw, i spodziewam się, że pacjenci uwierzą we mnie jako lekarza. Myślałem, że tak będzie w twoim przypadku.

- Masz wszelkie prawo, żeby się na mnie złościć...

- Nie jestem zły. Gorzej. Jestem rozczarowany. Tak jak;

piętnaście lat temu, kiedy pobiegłaś do tatusia po naszym pocałunku i poprosiłaś, żeby mnie przegonił. Brakowało ci cywilnej odwagi.

- O czym ty mówisz? Niczego podobnego nie zrobiłam.

- Nie?

- Nie.

Lucas znów wzruszył ramionami. W ten irytujący sposób dawał jej do zrozumienia, że teraz i to nie jest takie ważne.

- Nie masz prawa tak mnie oceniać. A jeśli mi nie wierzysz, to oboje mamy powody do rozczarowania, prawda? W pewnym sensie masz rację. Przez moment uwierzyłam własnym oczom i temu, co ludzie mówią. To było głupie z mojej strony. Ale najwyraźniej nie tylko ja wyciągam fałszywe wnioski. Prędzej bym umarła, niż powiedziałam komuś o naszym pocałunku. Czy naprawdę uważasz, że byłam pod tak silnym wpływem ojca?

- Ja...

- Być może oboje mamy zbyt wiele problemów i nasz związek opiera się tylko na seksie - dodała zniechęcona.

- Może i tak - mruknął, wpatrując się w podłogę.

- W takim razie ja się wycofuję. Aż tak bardzo nie zależy mi na seksie. Kiedy ludzie nie potrafią sobie zaufać, seks im w niczym nie pomoże.

- To prawda.

- Zatem nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Tym razem Lucas w ogóle się nie odezwał. Francesca wróciła do domu z oczami pełnymi łez, zastanawiając się, jak zapomnieć o Lucasie Wildzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tej nocy dziecko, na które Francesca czekała niecierpliwie cały tydzień, postanowiło przyjść wreszcie na świat. Jego rodzice, właściciele pensjonatu nad jeziorem Piper, dotychczas bezdzietni, zadzwonili wespół do dziesiątej. Lauren Gioco miała już bóle od kilku godzin i teraz przerwy między skurczami wynosiły od pięciu do ośmiu minut.

- Proszę przyjechać na badanie - powiedziała Francesca, zadowolona, że może się czymś zająć. - Albo będzie pani mogła wrócić jeszcze do domu, albo pojedzie wprost do szpitala. Proszę wziąć z sobą rzeczy.

Okazało się, że przyszła matka powinna jednak jechać od razu do szpitala i Francesca znów została sama. Nie mogła się na niczym skupić. Wiedziała, że niedługo zapewne otrzyma telefonicznie informacje o swej pacjentce.

W końcu położyła się do łóżka. Cóż jej innego pozostało? O czwartej nad ranem istotnie obudził ją telefon.

- Pani Gioco niedługo urodzi - poinformowała ją pielęgniarka z oddziału położniczego.

- Już jadę - odpowiedziała.

Carina Marie - zdrowa, śliczna dziewczynka - przyszła na świat o szóstej rano.

Mała Carina miała już trzy tygodnie, gdy Francesca wreszcie ujrzała Lucasa. Zadzwonił któregoś dnia i spytał,

czy mogliby wspólnie zająć się pacjentką, która zgłosiła się na próbę ciążową.

- Jest chora na cukrzycę insulinozależną - oznajmił rzeczowo. - To kolejna mieszkanka Nowego Jorku, sceptycznie nastawiona do opieki lekarskiej w Darrensbergu. Jednakże z twoją wiedzą na temat położnictwa i moją o cukrzycy powinniśmy sobie poradzić. Nie sądzisz?

- Na pewno - rzekła z namysłem.

Telefon od Lucasa był najwyraźniej sygnałem, iż gotów jest zapomnieć o osobistych urazach i współpracować z nią, jeśli ona się zgodzi. Czy się zgodzi? Czuła się co prawda głęboko urażona, jednak pocieszała się myślą, że przynajmniej potrafi się zachować jak profesjonalistka. Taki zamiar przyświecał jej początkowym kontaktom z Lucasem i szkoda, że na tym nie poprzestała.

- Tak - dodała pewniejszym tonem. - Na pewno damy sobie radę. Możemy się konsultować telefonicznie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

I miejmy nadzieję, iż niezbyt często, pomyślała.

- Chciałbym zapytać z czystej ciekawości...

- Tak?

- Ci ludzie są zaprzyjaźnieni z Saltmańami. Czy sugerowałaś Saltrnanowi, żeby przyszli do mnie?

- Nic nie mówiłam Saltrnanowi poza tym, że jestem zadowolona z przebiegu jego terapii. Ale moja nowa recepcjonistka mówi wszystkim, że na razie nie przyjmuję nowych pacjentów. Nie mam pojęcia, czy twoi nowojorczyki dzwoniли najpierw tutaj, czy od razu zgłosili się do ciebie.

- W porządku. Będę się z tobą kontaktował w sprawie

tej nowej pacjentki, a ona sama zgłosi się do ciebie za kilka tygodni.

- Dobrze, dziękuję - powiedziała i odłożyła słuchawkę, po czym przez interkom poprosiła Dorę.

- Już idę - odpowiedział jej energiczny głos.

Współpraca z nową recepcjonistką układała się z dnia na dzień lepiej. Kawa pojawiała się o odpowiedniej porze, nie było łez ani hysterii, a pokoje przyjąć - różowy i niebieski - zostały przemalowane na kremowo, choć Dora obawiała się, że określenia „niebieski” i „różowy” na zawsze pozostaną w ich rozmowach.

- Słucham, pani doktor?

- Z czystej ciekawości... - Wypowiadając te słowa, Francesca zorientowała się, że powtarza słowa Lucasa.

- Ilu nowym pacjentom odmówiliśmy ostatnio zapisu?

- Och, niezbyt wielu. W tym tygodniu odprawiłam zaledwie kilku chętnych. I paru turystów, którzy zdecydowali się na wizytę w Wayans Falls. Z drugiej strony...

- Dora zawahała się.

- Tak?

- Mieliśmy telefony z prośbą o przesłanie kart chorobowych do doktora Lucasa od osób, które leczyły się kiedyś u starego doktora Jamesa, a potem przeszły do nas. Teraz znów chcą wrócić do przychodni doktora Wilde'a.

- Spojrzała niepewnie na Francescę. - To znaczy, nie robiłam z tego wielkiego problemu. Skoro i tak odsyłamy pacjentów...

- Nie, nie, w porządku - powiedziała z roztargnieniem Francesca.

- Czy to wszystko?

- Tak, dziękuję.
- Wydaje mi się, że Dixie właśnie poprosiła panią Bar-kin do niebieskiego i zrobiła jej podstawowe badania.
- Dziękuję, Doro, zaraz tam będę.

A więc ludzie zaczynają się leczyć u Lucasa. I bardzo dobrze. Zasłużył sobie na to. Francesca nie miała zamiaru szkodzić jego praktyce, jak to przed laty zrobił jej ojciec. A wszystko dlatego, że go kocha i chce, aby mu się udało.

Lucas istotnie odzyskiwał stopniowo zaufanie pacjentów. Wystarczało mu pieniędzy, by zatrudnić recepcjonistkę, a plotka głosiła, iż przyjął także pielęgniarkę. Francesca, ilekroć przejeżdżała obok jego domu, spoglądała w tamtą stronę i widziała wyraźne zmiany. Ganek był całkowicie wyremontowany, ktoś zadbał o ogród, a ostatnio domem zajęło się dwóch malarzy.

Pojawiły się także nowe pogłoski.

- Czy wiedziała pani, że doktor Lucas jest cukrzykiem? - spytała pewnego dnia Dixie. - Mówiła mi jego recepcjonistka - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź Franceski. - Pewno stąd się wzięły te plotki o narkotykach. A te historie o Pastille Baron? Kto wie, jaka jest prawda. O wiele bardziej ufam Lucasowi niż Sharon.

Tymczasem nadszedł lipiec i do Franceski przyjechała z Kanady jej siostra Luiza wraz z całą swą gromadką. Kiedy wyjechali, Francesca z niechęcią zaczęła myśleć o jesieni i następującej po niej zimie, co zupełnie nie miało sensu, bo do zimy było jeszcze daleko, a poza tym Francesca lubiła właściwie tę porę roku.

Z drugiej strony w zimie człowiek bardziej potrzebuje

ciepła rodzinnego i Francesca coraz mocniej i dotkliwiej odczuwała jego brak. Czy to już wszystko? - zastanawiała się często. Mam swoją praktykę, jestem cenionym lekarzem, kocham te góry, ale czy to naprawdę wszystko? Ach, do diabła, muszę w końcu o nim zapomnieć.

Dlatego też przyjęła dwa zaproszenia na randki: jedno od dziennikarza, który przyjechał na urlop do Saltmanów i skaleczył się haczykiem wędkarskim, drugie od właściciela jednej z dwóch restauracji w Darrensbergu. Oba wieczory spędziła bardzo przyjemnie i prędko o nich zapomniała. Żaden z mężczyzn nie poprosił jej o drugie spotkanie, pewno dlatego, że nie wykrzesła z siebie tej odrobiny niezbędnego entuzjazmu, by ich do tego zachęcić.

W tym czasie przyjęła ciężarną pacjentkę Lucasa, Weronikę Little, rozmawiała z Lucasem o niej i o kilku innych pacjentach, raz spotkała go w sklepie - kupował sos *pesto*, urodzinową kartkę dla dziecka i mleko - i trzy razy przelotnie widziała go w Wayans Falls, gdzie był chyba bardzo popularny.

Kiedyś, jako nastolatka, snuła fantazje na jego temat, zaczynając od podstawy tak wątej jak zarys jego sylwetki na motorze. Dziś była bardziej konkretna. Na przykład po spotkaniu w sklepie, gdzie kupował sos *pesto*, doszła do wniosku, że najwyraźniej przestał się żywić wyłącznie hamburgerami. Gdy kupował kartkę z napisem „Dla pięcioletniego chłopca”, uznała, że widocznie pamięta o rodzinnych uroczystościach; a gdy kupował mleko, pomyślała, że zjada codziennie na śniadanie dużą porcję płatków kukurydzianych, czytając gazetę.

Oczywiście nie miało to wszystko najmniejszego sensu

i Francesca doskonale zdawała sobie sprawę z własnej naiwności, choć nie potrafiła się wyzwolić ze swej fascynacji. Wciąż kochała Lucasa, mimo że sytuacja była jeszcze bardziej beznadziejna niż piętnaście lat temu.

Pewnego sobotniego popołudnia, na początku sierpnia, siedziała w ogrodzie, czytając powieść sensacyjną, gdy zabrzączał pager. Okazało się, że poszukuje jej wielebny Peter Epperley, który trzy tygodnie wcześniej zgłosił się do niej z problemem wrośniętego paznokcia.

- Jest tu pewna kobieta, która... To znaczy mam wrażenie... Ona chyba zemdląła w kościele - powiedział tak spokojnie i uprzejmie, że początkowo Francesca nie potraktowała tego telefonu jako pilnego. - Najpierw myślałem, że zasnęła, a potem, że jest pijana. Może i jest pijana, ale nie mogę jej w żaden sposób dobudzić. Pomyślałem, że to może reakcja na jakieś leki czy coś w tym rodzaju. Czy mogłaby pani przyjechać?

- Oczywiście, chciałabym jednak, żeby mi pan coś jeszcze powiedział. Czy ta kobieta oddycha? Czy ma wyczuwalny puls?

- Tak, oddycha, nawet dość szybko. I puls też ma raczej przyspieszony. Czuć od niej jakiś dziwny zapach. To nie jest alkohol, ale coś jakby taki tropikalny koktajl. Coś owocowego.

To może oznaczać śpiączkę cukrzycową.

- Ta kobieta jest dość potężna, a ja mam sześćdziesiąt pięć lat i nie najlepsze zdrowie - mówił wielebny Epperley. - Nie jestem pewien, czy nawet we dwójkę sobie z nią poradzimy, zwłaszcza że parę lat temu wypadł mi dysk.

- Zaraz tam będę - przerwała mu Francesca, nadal nie będąc pewna, czy wezwać karetkę.

Niemniej zabrała ze sobą rozmaite leki wraz z aparaturą do kroplówki i pojechała do kościoła św. Trójcy z nadzieją, iż alarm okaże się fałszywy. Niestety, wszystko wskazywało na to, że tak nie jest.

W leżącej między ławkami kobiecie Francesca rozpoznała Sharon. Od czasu pierwszej wizyty wielokrotnie przychodziła do Franceski z długą listą dolegliwości, spowodowanych swym niehigienicznym sposobem życia i niewłaściwą dietą, choć nigdy nie przyjmowała do wiadomości faktu, że wina leży po jej stronie. Zawsze też domagała się jakiegoś szybkiego i cudownego lekarstwa.

- Proszę, już wiemy, o co chodzi! - wykrzyknął pastor, wyciągając z kieszeni Sharon karty do gry w bingo.
- Na pewno po południu była na bingo i zemdląła z wrażeń, kiedy wygrała większą sumkę. Albo...

- Chyba nie - przerwała mu zdesperowana Francesca.
- To moja pacjentka, jest chora na cukrzycę. Czy mógłby pan z łaski swojej... - Jego grzeczność stawała się zaraźliwa. - Proszę natychmiast wezwać karetkę, a potem zadzwonić do doktora Wilde'a.

Wcisnęła się między ławki, usiłując ocenić stan Sharon. Rzeczywiście jej oddech był szybki i płytki, a puls wyraźnie przyspieszony.

- Och! - zawołał pastor. - Powinienem być od razu dzwonić do szpitala.

- Przecież nie mógł pan wiedzieć, że to coś poważnego.

Lucas przyjechał po pięciu minutach, gdy Francesca

i wielebny Epperley usiłowali wyciągnąć zaklinowaną między ławkami Sharon.

- Musimy ją tak zostawić - rzekła Francesca bardziej do siebie niż do pastora. - Podłączę jej kroplówkę do stopy, bo do rąk nie mam dostępu. Co gorsza, w nogach ma potwornie złe krążenie. Poziom cukru zbadam, chyba wkłuwając się w ramię...

- Nie możesz jej przesunąć? - spytał Lucas, który właśnie wszedł do kościoła.

- Nie.

- To jest fatalna pozycja.

- Wiem, ale co zrobić? Sharon jest strasznie gruba.

- Teraz jest nas troje. Czy te ławki są przytwierdzone do podłogi?

- Nie, ale są bardzo ciężkie i trudno je ruszyć.

- Nie tak trudno jak naszą pacjentkę.

- Lucas, jeśli spróbujemy przesunąć ławkę, możemy zrobić Sharon krzywdę.

- Najpierw odsuniemy tę ławkę - rzekł Lucas - a potem tę, w której się zaklinowała, i dopiero wtedy odwrócimy ją twarzą do góry.

Nie było to łatwe, lecz w końcu się udało. Tak jak mówił wielebny Epperley, ławki były bardzo ciężkie i jedynie Lucas potrafił je trochę unieść do góry. Francesca i pastor mogli jedynie próbować przesuwać je po podłodze. W końcu Sharon leżała na plecach, umożliwiając im dostęp do twarzy, serca i rąk, gdzie znajdowały się żyły w lepszym stanie.

Teraz Francesca i Lucas działali szybko. Kolejne badanie potwierdziło, że Sharon ma atak śpiączki cukrzycowej.

Francesca ukłuła ją w palec i odczytała poziom glukozy, który okazał się niebezpiecznie wysoki.

Lucas w tym czasie przygotowywał kroplówkę. Z powodu tuszy Sharon trudno było wkłuć się w żyłę.

- To zapach ketonu, prawda? - spytał. - Jakie jest tętno?

- Wysokie.

- Masz insulinę?

- Tak.

- Jej pH jest na pewno za niski, ale musimy z tym poczekać, aż znajdzie się w szpitalu.

- Podam jej tabletkę insuliny.

- Dobrze.

W tym czasie wielebny Epperley stał z tyłu, nerwowo zacierając ręce. Kiedy już nic więcej nie mogli zrobić poza czekaniem na karetkę, odezwał się:

- To chyba szczęśliwy traf, że się tu znalazłem. Miałem spotkanie z parą narzeczonych, którzy chodzą na nauki przedmażeńskie, a później postanowiłem przewietrzyć trochę kościół. Gdybym tu nie przyszedł, nie zobaczyłbym tej kobiety. Czy to mogłoby się skończyć jej śmiercią?

- Owszem - odparł Lucas. - Pańskie przyście wypadło w dobrym momencie.

- Chyba rzeczywiście wracała z bingo - dodała Francesca. - Zapewne źle się poczuła i weszła do kościoła, żeby odpocząć.

- Przyjechała karetka - przerwał jej Lucas.

Po chwili w kościele zjawili się dwaj sanitariusze z noszami. Z trudem przenieśli Sharon do karetki.

- To moja pacjentka - powiedziała później Francesca do Lucasa. - Nie musisz z nami jechać.

Stali oboje przy tylnych drzwiach pojazdu i Francesca, mimo że nie był to bynajmniej odpowiedni moment, ponownie odczuła dojmującą potrzebę fizycznej bliskości z Lucasem. Przez dwie noce leżała w jego ramionach, bezgranicznie szczęśliwa, i choć upłynęły już dwa miesiące, nadal nie mogła o nim zapomnieć.

- Staram się zawsze doprowadzać sprawy do końca
- odparł krótko.

Widocznie dotyczy to tylko spraw zawodowych, pomyślała z goryczą. O sprawy osobiste tak się nie troszczysz...

Ale i ona sama niewystarczająco się starała, by wszystko między nimi jakoś się mimo wszystko ułożyło. Teraz odwróciła głowę i patrzyła przez łzy we własną dłoń na drzwiach karetki, zadowolona, że Lucas sienie odzywa. Przynajmniej nie musi na niego patrzeć i Lucas nie widzi jej łez.

Wsiadł do karetki i Francesca poszła jego śladem. Przez całą drogę uważnie obserwowali Sharon i dzięki temu wszelkie sprawy osobiste stały się nieważne. Sharon nadal groził atak serca i zatrzymanie oddechu, jednak na dziesięć minut przed przyjazdem do szpitala poruszyła się i otworzyła oczy.

- Sharon? Sharon? Już wszystko dobrze. Pamięta pani, co się stało? - spytała szybko Francesca, starając się utrzymać kontakt wzrokowy z pacjentką.

- Nie.

- Wieziemy panią do szpitala. Miała pani bardzo wysoki poziom cukru i zemdląła pani, ale znaleziono panią w porę.

- Uhm;

- Jaki jest dzisiaj dzień, proszę pani? - zapytał Lucas.

- Dzień bingo. Sobota - odparła Sharon ze słabym uśmiechem. - Wygrałam czterdzieści dolarów. Hej! - zawołała nagle, starając się usiąść. - To Lucas Wilde!

- Doktor Brady wezwała mnie na pomoc.

Sharon przyglądała mu się przez dłuższą chwilę i Francesca zaczęła się denerwować. Powinna była to przewidzieć i nie wzywać Lucasa. Stan Sharon nadal był poważny i jakikolwiek wstrząs psychiczny...

- Od lat pana nie widziałam - stwierdziła Sharon. - Pomógł pan w uratowaniu mi życia, co?

- Tak - odparła Francesca.

- Tilly miała fioła na pana punkcie. Teraz rozumiem dlaczego. Wciąż się pan kręcił w naszej okolicy. Tilly stała się bardzo skryta. Matka nie żyła i wszystko spadło na mnie. Caron się niczym nie przejmowała. Nie chciałam, żeby Tilly skończyła jak ulicznica, ale to nic nie pomogło. Czy był pan ojcem jej dziecka?

- Nie. Po prostu często tamtędy przejeżdżałem.

- Chyba mówi pan prawdę. Co by tam pan w niej widział! To pewno ten Harry Petty zrobił jej dzieciaka. Za nim też latała. Tak samo jak ja, dopóki nie wylądował w kiciu za napad z bronią w ręku. Śmieszne, ale teraz to nie jest ważne. Wtedy mi na nim zależało i jak Tilly powiedziała, że dzieciak jest jego, myślałam, że mówi tak mi na złość. Czy pan mógłby coś pomóc na tę moją cholerną chorobę?

- Tylko pani może sobie pomóc.

- No tak, ta sama stara śpiewka o diecie. Lekarze! Wszyscy są tacy sami. Płaci się im za leczenie, a oni każą leczyć się samemu.

Sharon umilkła, z trudem łapiąc powietrze. Francesca ścisnęła ją za rękę.

- Proszę już nic nie mówić.

Kilka minut później dojechali do szpitala. Sharon przewieziono do izby przyjęć, skąd miała trafić na oddział intensywnej terapii. Przez jakiś czas Francesca i Lucas zajęci byli przekazywaniem historii choroby Sharon i dyskusją nad jej dalszym leczeniem. Mieli nadzieję, że atak śpiączki trochę ją przestraszył i Sharon zacznie wreszcie przestrzegać zaleceń lekarskich.

- Najważniejsza jest insulina - rzekła Francesca w rozmowie z ordynatorem. - Może należy zacząć iniekcje jeszcze w szpitalu. Ubezpieczenie pokrywa zaledwie parę dni pobytu, zatem im szybciej, tym lepiej. Jeśli pacjentka stwierdzi, że kuracja jej pomaga, może zacznie bardziej o siebie dbać.

- Zrobimy co się da - oświadczył ordynator.

- To już chyba wszystko-powiedziała Francesca, a wysoki, energiczny mężczyzna kiwnął głową.

- Do zobaczenia.

Takim samym skinieniem głowy pożegnał Lucasa, który przez ostatnie kilka minut wcale się nie odzywał. Z początku Francesca nie zwróciła na to uwagi, teraz jednak coś ją tknęło. Lucas był blady, spocony i dygotał na całym ciele.

- Czy masz reakcję insulinową? - spytała.

- Oczywiście, że nie - odparł zirytowanym tonem, co też było jednym z objawów.

- Chyba tak - powiedziała. - Powiedz mi, kiedy...

Tymczasem na pytania było już za późno. Lucas chwycił się ściany i upadł na podłogę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie był to poważny atak. Dzięki zastrzykowi z glukozy Lucas szybko odzyskał przytomność i zjadł kilka krakersów z serem. Węglowodany wolniej zamieniały się w cukier, ale dłużej pozostawały w organizmie. Potliwość, drżączka, bledność skóry i brak orientacji zniknęły w ciągu zaledwie kilku minut. Jednakże irytacja...

- Pójdę do bufetu - poinformował krótko Francesce, gdy zniknął tłumek kręcących się wokół niego lekarzy i pielęgniarek. - Zjadłem porządny posiłek po ostatnim zastrzyku insuliny, ale później trochę biegałem. Pewno spaliłem za dużo kalorii.

- Pójdę z tobą - powiedziała zaniepokojona.

- Nie, proszę cię.

- Och, nie denerwuj się. Masz prawo irytować się tylko przed zażyciem cukru.

- Przestań, Chess. Nie trafiło mi się nic takiego od... jakichś dwunastu lat. Nie mam takich reakcji.

- To znaczy, że coś jest nie w porządku - oświadczyła spokojnie. - Albo to tylko nieszczęśliwy przypadek.

- Nie miewam nieszczęśliwych przypadków - mruknął. - Kontroluję swoją chorobę. To bardzo ważne, zwłaszcza w moim zawodzie.

- Posłuchaj, Lucas...

- Daj spokój, Francesco.

- Wobec tego zajrzę do moich pacjentów - powiedziała spokojnie, poddając się. - Jeśli chcesz, żebyśmy wrócili razem taksówką, spotkamy się za pół godziny przed głównym wejściem.

- Dobrze. Ale nie czekaj, jeśli mnie nie będzie.

Zabrzmiało to jak pogrożka. Pewnie nie przyjdzie, pomyślała Francesca i gdy dwadzieścia pięć minut później skończyła odwiedziny u swych pacjentów, miała ochotę w ogóle zrezygnować z czekania.

Lucas zjawił się dokładnie po dwudziestu dziewięciu minutach.

- Nie jedziemy taksówką - poinformował ją. Był w znacznie lepszym nastroju.

- Nie?.

- Ronnie Parsons z intensywnej terapii jedzie do Ulmstown i nas podwiezie.

Francesca miała wrażenie, że bardzo ładna, czarnowłosa pielęgniarka miałaby ochotę nie tylko na przejażdżkę z Lucasem, jednakże on, nawet jeśli się czegoś domyślał, nie dał niczego po sobie poznać, W gruncie rzeczy robił nawet wrażenie człowieka, który nie może się doczekać końca podróży i gdy Francesca wysiadła przed swoim domem, wysiadł razem z nią.

Uprzejmie podziękował pielęgniarce, ale w ogóle się nie obejrzał, kiedy odjeżdżała, i wciąż tkwił za plecami Franceski, gdy otwierała drzwi. Odwróciła się do niego przodem, nie mogąc wykrztusić słowa. Dwa miesiące wcześniej rozstali się w złości; oboje oskarżali się wzajemnie i, jak stwierdziła Francesca, dzieliło ich zbyt wiele

niedomówień. Od tego czasu Francesca nieustannie zastanawiała się, czy u podstaw nieporozumień nie leżą jednak nie załatwione sprawy z odległej przeszłości.

Oboje świetnie zdawali sobie sprawę z tego, że nadal dzieje się między nimi coś magicznego i nieuchwytnego, coś, co z młodzieńczego zauroczenia przerodziło się w dojrzałe uczucie.

- Nie przyjmuję do wiadomości tego, co powiedziałaś dwa miesiące temu - powiedział Lucas niespodziewanie.
- Stanowczo i nieodwołalnie.

Znieruchomiała z dłonią na kluczu. Lucas położył na niej rękę i szybko przekręcając klucz, popchnął ramieniem drzwi. Potem wepchnął lekko Francescę do środka, wszedł, nogą zatrzasknął drzwi, odwrócił ją do siebie i mocno przytulił.

- Życie bez ciebie mnie zabija. To, co się dzisiaj ze mną stało, wynika wyłącznie z tego, że wciąż o tobie myślę. Usiłuję chodzić na długie spacerzy, jeździć motocyklem, czymś się zająć, no i zapominam o zastrzykach, co mi się do tej pory nie zdarzało. Nie mogę tak dłużej. Dwa miesiące temu głupio się zachowałem i przepraszam cię za to, choć przeprosiny wszystkiego nie załatwią. Całe miasto usiłowało cię przeciwko mnie nastawić i mam cholerne szczęście, że zwątpiłaś tylko na parę sekund. Po tym, o co cię oskarżałem, nie powinienem jako pierwszy rzucać kamieniem.

- Chcesz powiedzieć...

- Podejrzywałem, że piętnaście lat temu poleciałaś na skargę do tatusia. Spojrzałem wcześniej w okno na górze, ale musiał nas widzieć z gabinetu na dole. Ta lampa Tif-

fany'ego, której nadal używasz, daje bardzo mało światła i mogłem go wcale nie zauważyć. Oczywiście wiedział, że jeśli da mi do zrozumienia, że to ty mnie nie chcesz, będzie dużo bardziej skuteczny.

- Czy on...

- Nie mam do niego pretensji. Naprawdę. - Lucas wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu. - Podejrzewam, że jeśli będę miał córkę tak piękną jak ty, będę przepędzał od niej wszystkich chłopaków. Poza tym nie cieszyłem się wtedy najlepszą opinią.

- Ja tak nie uważałam.

- Miałaś piętnaście lat. To nie jest najmądrzejszy wiek, jeśli chodzi o wybór chłopaka. Nie, nie winię twojego ojca. Zachował się jak normalny ojciec w jego sytuacji.

- Moim zdaniem powinien był zachować się bardziej otwarcie, uczciwie. Mam mu wiele do zarzucenia,

- Możliwe. Ja miałem jednak pretensje do ciebie, bo podejrzewałem, że za tym stoisz.

- Gdybym rzeczywiście była aż tak słaba, zasłużyłabym na to, żeby cię utracić.

- Ale nie zasłużyłaś. I utraciliśmy się wzajemnie. Chyba musiało tak się stać. Potrzebowałem czasu, żeby dojrzeć.

Stał przy niej, wysoki i silny, przywołując najlepsze wspomnienia sprzed lat, łamiąc między nimi ostatnie lody, zmniejszając coraz bardziej dystans.

- Mówiłem ci już o moim dziecku, które było wcześniakiem.

- Raczej rzuciłeś mi to w twarz.

- No tak - przyznał. - Nie mówiłem ci o szczegółach.

- To powiedz teraz - poprosiła.

- Dobrze. To się stało po... wyjeździe stąd. W Nowym Jorku spotkałem dziewczynę, drugą i ostatnią, przy której usiłowałem zapomnieć o tobie. Przez jakiś czas była bardzo popularną modelką, ale, jak to często bywa, nie poradziła sobie ze sławą i pieniędzmi.

- Heroina?

- I kokaina. Na szczęście mnie to nigdy nie pociągało. Zaszła w ciążę za pierwszym razem, kiedy się kochaliśmy. Przez następne pół roku to rozstawaliśmy się, to wracaliśmy do siebie. Ona miała kontrakty i często wyjeżdżała, tymczasem ja czułem się coraz gorzej.

- Psychicznie?

- Nie, mam na myśli zdrowie fizyczne. Początkowo wszystko ignorowałem, wmawiałem sobie, że to nie może być nic poważnego. Wtedy nie znałem objawów cukrzycy. Męczyło mnie nieustanne pragnienie, mimo że codziennie wypijałem litry wody, i ciągle byłem osłabiony.

- Rósł poziom cukru.

- W szybkim tempie. Pewnego wieczoru straciłem przytomność. Na motocyklu. Jaye jechała na tylnym siedelku. Oboje wyszliśmy z tego dość pokiereszowani. Kiedy oprzytomniałem, dowiedziałem się, że jestem cukrzykiem, a Jaye straciła dziecko, które...

- Lucas, po co światu kolejne uzależnione dziecko?

- Po nic, a jednak...

- Było twoje...

- Było moje. Kiedy wyszedłem ze szpitala, zmieniła mi się hierarchia wartości. Straciłem dziecko, Jaye zniknęła. Wiele miesięcy później dowiedziałem się, że wróciła

do rodzinnego miasta i zaczęła wszystko od nowa. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz kilka lat temu, była szczęśliwą mężatką i studiowała plastykę. W pewnym sensie ten wypadek zmienił życie nas obojga. Musiałem sobie poradzić z chroniczną chorobą. Wiedziałem też, że muszę skończyć z bezsensownym buntem przeciwko ojcu i z wielbieniem ciebie, i zmienić się w innego człowieka.

- I tak się stało.

- Tak, chociaż nie było mi łatwo. Z tym większą niechęcią przyjmowałem fakt, że tobie wszystko przychodziło bez trudu.

- Bez trudu? Czy medycyna to łatwy zawód? Naprawdę tak sądzisz?

- Nie - przyznał. - I nie myślałbym tak, gdybym nie wierzył, że...

- Że poskarżyłam się ojcu, chcąc się ciebie pozbyć, ponieważ byłam zbyt pruderyjna i nieśmiała, żeby sobie z tobą poradzić...

- Czy tak to odczuwałaś, Chess? - wyszeptał z ustami tuż przy jej ustach.

- Jak? - spytała przekornie.

- Tak?

Zaprzagnęła, by ten pocałunek trwał wieczność. Trawiona palącym bólem niespełnienia, stanęła na palce i objęła go mocno za szyję. Lucas westchnął, oderwał usta od jej warg i ukrył na chwilę twarz w jej włosach.

- Posłuchaj - powiedział stanowczo, wodząc dłońmi po jej ciele. - Chciałbym postawić sprawę jasno.

- Tak?

Nie wierzyła, by miał zamiar powiedzieć coś nieprzy-

jernnego. Szybko obrzuciła wzrokiem jego twarz i zobaczyła tam blask miłości.

- Po pierwsze: małżeńskie spótki lekarskie zdają egzamin. Po drugie: chciałbym mieć dzieci przed czterdziestką. Po trzecie: jeśli przyjmiesz moje nazwisko i zmienisz nazwę firmy, sprzedam dom i przeniosę się do ciebie. Po czwarte, a powinno być po pierwsze: chcę, żebyś za mnie wyszła, zanim mnie wykończysz.

- Czy powinnam odpowiedzieć na twoje pytania w tej samej kolejności?

- W odwrotnej.

- Dobrze. Po czwarte: absolutnie i kategorycznie tak. Przez jakiś czas trwali w milczeniu.

- Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak ultimatum - zaczął po dłuższej chwili Lucas - ale punkt trzeci ma sens, prawda?

- Francesca Wilde? - zastanowiła się na głos. - Tak, to nieźle brzmi.

- Chodziło mi o przychodnię...

- Centrum Medycyny Rodzinnej, Wilde & Wilde. Może być.

- Nie proponowałbym tego, gdybym miał nadal trudności, ale moja przychodnia się rozwija. Nim weźmiemy ślub, będziemy równorzędnymi partnerami.

- Uważam, że jesteś lepszy niż ja. W każdym innym miejscu nie musiałbyś tak o wszystko walczyć, a i w Darrensbergu zdobywasz uznanie. Ludzie ci ufają, a jeśli chodzi o mnie...

- Twoja wiara trzyma mnie przy życiu, księżniczko - powiedział i uchylił głowę przed dobrze wymierzonym ciosem.

Oboje zaczęli się śmiać. Duchy z przeszłości zaczynały powoli tracić nad nimi moc.

- Kiedy konkretnie przed czterdziestką chcesz mieć te dzieci? - spytała Francesca kilka godzin później, opierając brodę o jego nagie ramię.

- Co? A, chodzi ci o punkt drugi, tak?

- Aha.

- Może... w wieku trzydziestu pięciu lat?

- Przecież masz już trzydzieści cztery!

- Wiem - odparł wesoło i znów przyciągnął ją do siebie.